

Dekada Literacka

Kraków ■ 1 — 15 VII 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 13 (49) ■ Cena 2000 zł

- Przekłady Miłosza ● Rozmowa z Andrzejem Szubą ●
- Powieść Korczaka o Janie Karskim ● Gawliński o Piotrze Guzycy ●
- Baranowa o Czapskim ●

KSIĄŻKI DZIECIŃSTWA, KTÓREGO NIE MIAŁEM

Henryk Grynberg



Książek dla dzieci nie czytałem, bo nie miałem dzieciństwa, ale moje obcowanie z literaturą zaczęło się od opowieści z dzieciństwa naszej cywilizacji: o Adamie i Ewie, Kainie i Abli, potopie i arce Noego, Abrahamie i Izaaku, Mojżesz i przykazaniach, Józefie i jego braciach, Jezusie i Judaszu. Przekazane mi zostały — tak jak ludzkości — tradycją ustną. Było to na lekcjach katechizmu w Zarebках Kościelnych wiosną 1944 roku. Miałem już prawie osiem lat i zapamiętałem każde słowo.

Szczęście mi wyjątkowo sprzyjało, bo w niespełna rok po tym bestsellerze wszystkich czasów natrafiłem na najlepszą opowieść z literatury polskiej — *Konrada Wallenroda*. Znalazłem go na etażerze u sąsiadów w Łodzi, w brązowej broszurze z wielkim napisem BUL na okładce (Biblioteka Uniwersyteckich Ludowych). Historia Konrada Wallenroda zafascynowała mnie i nie miałem żadnych trudności z językiem, bo na Podlasiu, gdzie spędziłem ostatni rok okupacji, mówiono w dość podobny sposób. Trochę kłopotu sprawiła mi tylko druga część broszury zatytułowana *Grażyna*: nie mogłem zrozumieć, co ta kobieta miała wspólnego z Konradem Wallenrodem i — na czym właściwie polegał jej problem.

Wiosną 1946 roku mój szczęśliwy los zaprowadził mnie do sanatorium dziecięcego w Otwocku, gdzie znalazłem *Herojów*: Prometeusza, Tezeusza, Herkulesa, Dedala i Ikarę. Była to najpiękniejsza książka mojego życia. W sanatorium trzymano mnie przeszło miesiąc i przez cały czas czytałem tę książkę — tam i z powrotem. Nic innego nie chciałem wziąć do ręki i cierpieć okropnie w godzinach przymusowego leżakowania, kiedy wychowaw-

czyni czytała nam coś zupełnie niezrozumiałego *O krasnoludkach i sierotce Marysi*.

Chętnie natomiast słuchałem opowiadań Edmonda Amicisa z książki zatytułowanej *Serce*, którą czytało nam, żydowskim dzieciom-rozbitkom, w prewatorium w Głuszycy niedaleko Wałbrzycha zimą 1946—47 roku. Uczyły one czegoś podobnego jak opowieści podlaskiego księdza katechety i słuchaliśmy ich z przejęciem.

Jedyna naprawdę dziecinna książka, jaką w życiu przeczytałem to *Trzej muszkietierowie*. Było to w Helenówku pod Łodzi, w domu dziecka (który założył przed wojną Chaim Runkowski, późniejszy „król” łódzkiego getta). Porthosem został najsilniejszy z nas i najbardziej wojowniczy Chaim Preter, Aramisem najinteligentniejszy Rysiek Lubelski, d'Artagnanem najszybszy i najzręczniejszy Władek Rybko, a ja zostałem Athosem, bo nie byłem ani najsilniejszy, ani najsprytniejszy, ani nawet najinteligentniejszy, ale ta niewinna mistyfikacja nie uszła mi bezkarnie i właśnie jak Athos drogo potem płaciłem za unoszenie się honorem — i w karierze, i w stosunkach z kobietami. *Ostatni Mohikanin*, z którego losem również mogę się utożsamić, nie jest dla mnie dziecinna lektura.

Książki o kowbojach i Dzikim Zachodzie poznałem przez Izia Ekhajzera, który je wszystkie przeczytał i opowiadał nam, gdyśmy wracali gromadką ze szkoły i odprowadzali się wzajemnie — tam i z powrotem — aż do końca opowieści. Opowiadanie, w którym cały czas strzelano i przeważnie z obu rąk, wymagało żywej gestykulacji i przechodnie na ulicach Łodzi spode łba na nas spoglądali. Nauczycielka w klasie pytała, jakie książki lubimy czytać i dlaczego i kazała nam o tym pisać wypracowania. Wszyscyśmy wiedzieli, o jakie książki chodziło i co należało pisać, żeby dostać dobry stopień, a tu Izio i Felek Epsztajn woleją — Proszę pani, proszę pani, Gutman napisał świetne wypracowanie! Dobrze, Gutman, przeczytaj, słuchamy. „Gucio” wstaje uradowany i czyta: Najbardziej lubię powieści o Dzikim Zachodzie, ponieważ opisują ludzi wolnych i niezależnych, uczą odwagi i sprawiedliwości i są o wiele ciekawsze i prawdziwsze od naiwnej i nudnej lektury, do której nas się zmusza w szkole... Dosyć! — przerwała nauczycielka. Proszę pani, niech czyta, niech czyta dalej! — wolała klasa, wiedząc, że Gutman może sobie na to pozwolić, bo jego rodzina miała już spakowane walizki i paszporty w kieszeniach. Wkrótce wyjechali także Epsztajn i Ekhajzer i dzieciństwo, któregośmy nie mieli, skończyło się po raz drugi.

Czytałem potem wybrane utwory z klasyki żydowskiej, między innymi opowieści chasydzkie Icchaka Pereca. Najsilniejsze wrażenie wy-

warły na mnie *Trzy podarunki* (*Drajmatunes*). Chodziło o podarunki dla Boga. Jednym z nich była jarmulka pobożnego Żyda, który musiał przejść pod kijami Kozaków i był już przy końcu szpaleru, gdy zauważył, że strącili mu z głowy jarmulkę i zawrócił

po nią. Gdy padł pod kijami, aniołowie podnieśli jarmulkę z ziemi i zanieśli Bogu, który uznał ją za najpiękniejszy podarek. Opowieść ta różni się od *Herojów* tym samym, czym judaizm od hellenizmu. I wątpliwe, czy jest lekturą dla dzieci.

BALLADA

PRZECIWKO WROGOM FRANCJI PRZEZ FRANCISZKA VILLONA

Niech go potwór iakowy zdybie ogniem tchnący
co go Iazon był uźrzał, gdy chodził po Wełnę,
Abo, iak Nabuchodonozor, w zewłok niech bydlący
Przejdzie, y w nim żywie przez siedem lat pełne,
Abo stratę ma ciężką y Woynę paskudną
iak Trojanie gdy wzięli Helenę precudną,
Niechay go też pochlonie iako Thanfalusa
y Prozerpinę, wszeteczne bagno Erebusa!
Y Ioba niechay przejdzie w ciężkiej Mizeryjey
zamknięty w chytrey wieży Daedalus
Ten, co by źle życzył Królestwu Francyjey!

Y cztery niech Miesiące z Ibem w stawie za karę
Iako Bąk tak niech sterczy ten niecny Pacholek,
Sultanowi niech go dadzą za Denarów parę
iżby w Tureckim jarzmie chadzał iako Wolek,
czy iako Magdalena przez lat trzy dziesięcie
Bez sukniey wszelkiej Golcem niech chodzi po świecie!
Oby go, iak Narcyza, w wodzie utopiono,
abo, iak Absalona, za włos powieszono
Y niechay iako Judasz, tak z Desperacyey
ginie; y niech bierze Dyabeł iak Maga Szymona
tego, co by źle życzył Królestwu Francyjey!

Czasy Oktawianowe niechby też wróciły
Gdy Iano Lotrom w żywot Złoto roztopione,
Iak Świętego Wiktora niechby go zmiażdżyły
Prędkie młyńskie Kamienie, żarna rozpedzone,
Lub bez tchu niech się graży w odmet Oceanów
gorzey, niżeli Ionasz w brzuchu Lewiatanów,
A też światłości dzienney niech go zbawi Phebus,
Iunona — dobr wszelakich, a kochania — Venus,
Y w gniewliwości srogiey bóg Mars niechay bije
(iak kiedyś był pokaran król Sardanapalus)
tego, co by źle życzył Królestwu Francyjey!

Xiążę, niech go zaniosą slugi Eolowe
do lasu, kędy sięga władztwo Glaukowe,
lub niech żywie we trwodze y Desperacyey,
bo iest istnie godzien nędze nieść takowe
ten, co by źle życzył Królestwu Francyjey!

Przełożył
IRENEUSZ KANIA

Literatura a siła uogólnienia

Katarzyna Fazan

Parę dni temu, na początku maja, neutralna ziemia austriacka udzieliła gościny polskim intelektualistom i politykom, którym zaproponowano spotkanie pod hasłem „Literatur und Politik in Polen”. W założeniu konferencja miała stworzyć okazję przedstawienia sytuacji naszego kraju, która nastąpiła po 1981 roku; być dialogiem dwóch światów rozdzielonych podziałem minionej Europy, lecz poszukujących możliwości współistnienia w granicach nowego jej kształtu czy raczej w projektowanym kształcie „Europy bez granic”. W praktyce specyfika zamkniętego sympozjum zorganizowanego w Neuberg — niewielkim i pięknym styryjskim kurorcie — nikłe uczestnictwo i jeszcze mniejsze zrozumienie problemów państwa „postkomunistycznego” przez austriackich gospodarzy sprawiły, że spotkanie przekształciło się w próbę odmalowania własnego (Polaków) portretu. Wobec cudzoziemców, w zmienionej alpejskiej scenarii, jednak — jak się wydaje — przede wszystkim dla siebie.

Nie spełnione pozostało wobec tego marzenie, by choć na moment wyzwolić się ze stereotypów, w jakie nas inni wtłaczają, wyodrębnić ze schematu sztucznej, acz wygodnej jedności „dawnego bloku państw socjalistycznych”, równocześnie wyznaczyć od nowa „szczytne rozmowy: zwyczajnie być w świecie, a nie manifestować swą obecność. Partner dialogu zawiódł. Zabrakło kogoś, kto zechciałby nas zobaczyć w naszej tożsamości, w aspek-

cie uwikłania polskiej rzeczywistości w bezduszne struktury wielkiej polityki (dawniej i terazniejszej), w wyjątkowych, konkretnych reakcjach na ciężnie anonimowej historii.

Istotnym i na swój sposób wspólnym przesłaniem, niezwykle zróżnicowanych głosów sympozjum, stało się uchwycenie losu narodu jako dialektyki dwóch sił. Pierwsza oznaczałaby to, co ogólne, nieludzkie, odbierające samoistność i godność. Druga wiązałaby się z tym, co wewnętrzne, indywidualne, nakazujące przetrwać unifikując wymiar historii. Fragment wiersza Czesława Miłosza mówiący, że „największym wrogiem człowieka jest uogólnienie” pojawił się w referatach STANISŁAWA BARAŃCZAKA oraz JANA BŁOŃSKIEGO i — w sposób nie zamierzony — stał się mottem konferencji. Wydaje się, że to właśnie refleksja podejmowana w duchu tego cytatu stworzyła możliwość wzajemnego porozumienia osób reprezentujących różne pokolenia, odmienne typy doświadczeń, rozbieżne światopoglądy (choć, jak należy podejrzewać w przypadku JANA LITYŃSKIEGO — UD i ANDRZEJA URBAŃSKIEGO — PC, było to porozumienie nadzwyczajne i tymczasowe).

Sporów — co i dobrze — nie brakowało. Zgodnie jednak uznano literaturę, moment kreacji za gest samoobrony istnienia żyjącego pod presją jakiegokolwiek totalitaryzmu, bez względu na jego proveniencję i ideologiczne podstawy. Jak podkreślał w swym wystąpieniu Stanisław Barańczak („Poezja a „duch uogólnienia”), polityka zawsze usiłuje zawładnąć życiem, zastąpić prawdę jednostkową uogólnieniem, roztopić indywidualność w całości; podejmować jedynie słuszne decyzje w imieniu trudnej do określenia „grupy”. Dopóki więc zbiorowość odbiera wolność, grozi historii odstania wewnętrzne zło człowieka, dopóty poezja winna odzywać się własnym głosem, niezależnym od „uniwersalnych wszechobowiązujących sentencji” oraz propagandowych

sloganów. Jest to funkcja twórczości słownej, lecz zarazem obowiązek wszystkich, którzy biorą udział w tak ważnej powszechnej komunikacji społecznej. Jak podkreślano w różnych wypowiedziach, każde zafalszowanie i oszustwo zaczyna się od nadużycia własnej mowy.

Jednocześnie chór głosów owej konferencji wyznaczał „prawa i obowiązki literatury”. Okazało się, jak bardzo jesteśmy wobec niej wymagający. Pisarz powinien być wolny, niezależny, mówić tylko prawdę a zarazem starać się odzwierciedlać możliwie wiernie skomplikowany układ polityczny, czasowo zdeterminowanej rzeczywistości. Pragniemy literatury na miarę dantejską a zarazem nakazujemy jej, by nie uroniła niczego z naczej niepowtarzalnej teraźniejszości, mierzyła jej puls z reporterską bliskością i dokładnością. Stąd też płyną liczne rozczarowania. W Neubergu nie obeszło się bez narzekania na mialkość, nieporadność wszelkich prób opisanego przemian zwiastujących z ostatnim dziesięcioleciem w Polsce. Jan Błoński zaryzykował tezę („oby się nie sprawdziła”) — jak sam natychmiast odczytał, że świadectwa o prawdziwie epickim rozmachu nie powstaną, że istnieje coś niewypowiedzianego w rozważanym fragmencie dziejów, tak jak nie opisane i nie wyrażone pozostało doświadczenie lat pięćdziesiątych. Z Polakami, skłonny do ujawniania kasandrycznej niewiary w pomysły obrót wypadków, nie zgadzał się GERMAN RITZ — sławista z Zurychu, autor tekstu o Konwickim i Hrabalu pod tytułem „Groteska późnego komunizmu”. Ritz zaoponował przeciwko narzekaniom naszych rodzimych krytyków i badaczy na niewystarczalność czy wręcz nieobecność zapisów uchwytnych istotę rzeczywistości prywatnej i społecznej ostatnich lat. Z dystansu, jak się okazuje, wygląda to inaczej. A może to my mamy prawo okazywać niezadowolnienie, nie zgadzać się na literaturę, która w uproszczeniu oddaje

ciągłe żywą pamięć? Na miejscu mogliśmy jedynie zweryfikować „racje” poezji, ocenić, czy jej głos jest wiarygodny. Swoje wiersze przypominał w nowych okolicznościach, w niezwyklej oprawie refektarza starego opactwa cystersów EWA LIPSKA i STANISŁAW BARAŃCZAK. Poeci, którym los wyznaczył reprezentacyjne, a nawet „polityczne” funkcje.

Abym uchwycić wielowymiarowość polskiego spotkania w Austrii, oddać wielość odcieni „portretu Polaków na tle Alp”, należałoby dołączyć przynajmniej jeden głos polityka i tu pokusa ogromna, aby uczynić to w sposób przewrotny: wspomnieć o wystąpieniu MICHAŁA BONIEGO — polityka i polonisty zarazem, który postąpił zgodnie ze swym duchowym rozdarciem i mówił o książkach... lecz książkach sygnowanych nazwiskami polityków: dawno minionych, byłych i obecnych. W wirtuozerkim tekście skupionym na wyznaniach autorów „pierwszej misji demokratycznej Polaków” Boni uświadomił rzecz niezwykle istotną. W tej amatorskiej, często nieudolnej literacko pisaninie (czy raczej spisanej gadaninie) zauważałem staję się moment kreacji, który uszlachetnia politykę. Być może należy w takiej sublimacji dopatrywać się efektów mistyfikatorskich, a może chodzi tu o zwykły ludzki odruch przekazania odbiorcy klarownego obrazu wraz z przesłaniem orientującym w chaosie spraw, od których zależy pojedyncze życie, a które tego życia często nie biorą pod uwagę. We wspomnieniach naszych polityków anno Domini 1989/90 można odkryć indywidualną wartość jednostkowego przeżycia odsłanianego na przekór schematom, jakimi dysponuje historia. To — rzecz jasna — optymistyczna wersja interpretacji wspomnień i wywiadów.

Literatura — a nawet po prostu zapis — świadectwo własnych doświadczeń ma w wypadku polityki działanie kathartyczne. Słowo wypowiedziane w zgodzie ze sobą wyznacza przestrzeń — miejsce zamieszkania uciekinierów i wygnańców, których po macoszu potraktowała rzeczywistość życia publicznego i politycznego. A to, że — jak konstatował w swym wystąpieniu Stanisław Barańczak — żadnego „nowego i wspaniałego” świata nie będzie, staje się rekwizytem mitotwórstwa i nieśmiertelności poezji, zapewnia jej zapotrzebowanie wbrew modom i chwilowym popytom pseudokultury.

(Sesja: „Literatur und Politik in Polen” 6—8.05.1992 — Neuberg an der Mürz, Austria).

Co nowego w prasie?

Problem stosunku elity kulturalnej, zwłaszcza pisarzy, do minionego reżimu wciąż wraca na łamach czasopism. Ostatnio nawet jakby częściej, co łatwo wytłumaczyć z jednej strony frustracją wywołaną realiami życia kulturalnego i politycznego III Rzeczypospolitej, z drugiej zaś — funkcją sui generis dekomunizacyjnego kozła ofiarnego, wprawianą nieszczęsnym inteligentom przez różnych demagogów. O tej drugiej przy okazji pisze Jan Błoński w bardzo spokojnym, wyważonym artykule „Pisarze i polityka, czyli przeciw uogólnieniom” (TYGODNIK POWSZECHNY nr 22): „...jeżeli pisarze kolaborowali, to nie więcej niż wszyscy, którzy musieli żyć w komunistycznym społeczeństwie. W każdym zawodzie, w każdej sytuacji, na każdym szczeblu — nie wyłączam tu nawet kleru — ludzie dopraszali się łaski, ukrywali swoje przekonania (...) zapisywali się do partii, jeśli chcieli uzyskać korzyść jakąś czy awans (...) Pisarze, intelektualści nadają się doskonale na kozły ofiarne (...) wszyscy chcielibyśmy wyegzorcyzmować totalitarny cień, który padł — tak czy inaczej — na nasze zachowania”.

Z artykułem Błońskiego koresponduje szkic Marty Fik „Testy dla buntowników” w 54. n-rze PULSU. Punktem wyjścia dla autorki były protokoły przesłuchań, jakim w 1966 specjalna komisja najwyższej instancji PZPR poddała grupę kilkunastu pisarzy partyjnych, którzy zaprzestawali przeciwko wydaleni z partii Leszka Kołakowskiego. Wszyscy ci ludzie z czasem stali się czołowymi postaciami w środowisku opozycyjnych intelektualistów. Ale w 1966 każdy z nich ufa jeszcze, że jego miejsce jest w partii. (...) Ich wiara w to, że „moralna za nią odpowiedzialność” nie pozwalała na dezercję, można w końcu zrozumieć, szczególnie, gdy na sprawę patrzeć mniej schematycznie, niż się to robi obecnie. (...) Jeśli spojrzeć naprawdę uczciwie we własne sumienie, okaże się, że tylko nieliczni spośród tych co spędzili w PRL znaczną część dorosłego życia, nie mieli żadnego udziału w podtrzymywaniu komunizmu a nawet, że nie czerpali z niego żadnych korzyści (...) Problem w tym tylko, jak o owym związku między działaniami partyjnymi, przywiązaniem do ideałów Października „lewicowców” a fiaskiem komunis-

tów w czerwcu 1989 przekonać tych, dla których sierpień 1980 jest jedynie niejasnym wspomnieniem dzieciństwa. Niezbyt wrażliwych na argumenty dowodzące, iż złożenie podpisu pod listem protestacyjnym — choćby w sprawie wydalonego z partii wybitnego kolegi — wymagało w półowie lat sześćdziesiątych „dużo większej odwagi” niż zejście do podziemia po 13 grudnia?

Również „kulturze i komunizm” poświęcił Stanisław Lem swe „Rozważania sylwiczne” (od silva rerum) w 4 n-rze ODRY. W tym błyskotliwym felietonie mowa jest [m. in. o Sciborze-Rylskim (Nie należał ani do łaknących pieniądza, ani do tchórzów, które to dwie, jako jedyne kategorie konwertytów socrealizmu ustalił był pół wieku potem Zbigniew Herbert (...)) po prostu uwierzył, jak wielu, w te piękne i szlachetne rzeczy, jakie głosiła komuna w wydaniu PRL], o własnych doświadczeniach z socrealizmem, o Kołakowskim, a) przede wszystkim o psychologicznym mechanizmie nadzwyczajnej łatwości, jaką intelektualści (...) udzielali komunistycznej utopii. (...) Myślę sobie, że ludziom znużonym ludzką niechętnością (...) bardzo się chciało, ażeby ktoś gdzieś pokazał, jak dobrze i łatwo można wyhodować ludzkie istoty pełne dobroci, łagodności, a jeszcze syte i bardzo rado spotykającym je losowi (...) Komuna ustawiła literaturę w centrum kultury, a kulturę w centrum umysłowym i naprawdę mało kto mógł wtedy, u szczytu stalinowskiej manii, dowiedzieć się, jakie były realne KOSZTY tego rodzaju postępowania.

J.L.

Camera Obscura

Stanisław Lem („Tygodnik Powszechny” nr 16) tłumaczy, że powiedzenie „Polska nie rządzą stoi” — „nie ma ze sprostą nieobyczajnością nic wspólnego. «Nierząd» znaczy NIE STOI rządem, czyli kupy się trzyma bez względu na to, czy rząd coś sensownego robi, czy nie robi”. W rzeczywistości sens tego przysłowia wywodzącego się jeszcze z drugiej połowy XVI w. był jeszcze inny — znaczyło ono, że Polska „stoi” (tzn. zawdzięcza swój byt polityczny) DZIEKI bezrządowi. Z takim sensem tego powiedzenia polemizowali m. in. Andrzej Maksymilian Fredro i Stanisław Korński. (hm)

Kazimierz Koźniewski („Literatura” nr 4) rozpytywa się nad artykułem Cata-Mackiewicza, który w r. 1928 domagał się zubożyci dla białoruskiego komunisty Bronisława Taraszkiewicza, dlatego że jako człowiek „ideowy, czysty” jest on szczególnie niebezpieczny. Nazywać — jak to czyni Koźniewski — tę perfidną sofistykę uzasadniającą żądanie stryczka dla ideowego przeciwnika „rycerskim sposobem myślenia i pisania” — to doprawdy zdumiewające! (Sąd polski był mniej „rycerski” i skazał Taraszkiewicza na 12 lat więzienia). (hm)

W ostatnim XXIX tomie „Pism” Boya-Zeleńskiego, właśnie wydanym, redaktor Henryk Markiewicz twierdzi, że oprócz Edwarda Dembowskiego autor „Brazowników” jest jedynym dotąd polskim krytykiem, który doczekał się

tak pełnej edycji zbiorowej” (s. 456). Zapomniał, lecz PIW powinien był o tym pamiętać, że o taką edycję zbiorową postarał się za swego życia, i to dwukrotnie, Artur Sandauer. (hm)

Z. S. apodyktycznie twierdzi w „Nowych Książkach” (nr 2/3), że Roman Dmowski trafnie ocenił polski ruch socjalistyczny w zaborze rosyjskim, bo „nie służył on idei niepodległościowej” i „sprzyjał utrwaleniu poddańczego statusu ziem polskich w obrębie cesarstwa Romanowów”; to narodowcy, a nie socjaliści odbudowali i w 1920 roku obronili polskie państwo”. Mocno powiedziane — mimo to zapytujemy: Czy tylko narodowcy? I z jakiego to tramwaju wysiadł Piłsudski na przystanku niepodległości? (hm)

Jan Kott pisze („Dialog” nr 3), że z tych, co jeszcze zdążyli pisać do przedwojennych „Wiadomości Literackich” pozostali Tymon Terlecki, Wacław Kubacki, Bohdan Korzeniewski — i on sam. Ale listę tę można trochę wydłużyć: do „Wiadomości” pisali także Józef Czapski, Juliusz Wiktor Gomulicki, Paweł Hertz. No i przede wszystkim — wcześniej i więcej niż oni wszyscy razem — Irena Krzywicka. (hm)

Janusz Korwin-Mikke („Wprost” nr 20) przypisuje określenie „gęgacze” Piotrowi Wierzbickiemu. W rzeczywistości twórcą jego jest Janusz Szpotański, autor „oper”, „Cisi i gęgacze” (1964). (hm)



Krzysztof Lisowski

● Czy wierzysz w szczęśliwe zbiegi okoliczności? 26 marca 1892 roku w Camden, w stanie New Jersey zmarł wielki bard Ameryki, Walt Whitman — równo sto lat później, tego samego dnia Ty otrzymałeś sygnałny egzemplarz swojego przekładu poezji Whitmana pt. „Pieśń o sobie”, wydany przez Wydawnictwo Literackie!

— Głęboko wierzę w zbiegi okoliczności, niekoniecznie szczęśliwe. Ale w marcu doszło do aż dwóch przyjemnych dla mnie koincydencji: książka została wydrukowana w dniu moich urodzin, a dotarła do Katowic przesyłką poleconą kilka dni później, dokładnie w Whitmanowską rocznicę. Okazuje się, że szczęścia chodzą parami...

● Czy mógłbyś przypomnieć historię powstania tego przekładu, Twego zainteresowania Whitmanem?

— Oto Zbieg okoliczności numer trzy: na początku swej drogi literackiej, w pierwszym fragmencie kluczowego dla swej twórczości wielkiego poematu *Pieśń o sobie* Walt pisze: „Ja — trzydziestosiedmioletni, zdrów jak ryba, zaczynam”. I ja też, w trzydziestym siódmym roku życia zacząłem... pracę nad Waltem, i też byłem zdrów jak ryba. Gdy skończyłem kilkanaście miesięcy później, byłem w dużo gorszej formie fizycznej i psychicznej — „dobry, siwy poeta” kosztował mnie wiele zdrowia. A teraz poważnie. Tak naprawdę zainteresowałem się *Żdźbłami trawy* jesienią 1986 roku, kiedy Wydawnictwo Literackie w osobie ówczesnej kierowniczki Redakcji Przekładów Marysi Strasz-Kańskiej zaproponowało mi zajęcie się Waltem. Wczesniej nigdy serio się nim nie interesowałem, miałem go za niewyżytego, nieskomplikowanego, niechlujnego gaduła, który na amerykańskim poetyckim bezrybiu wyrósł na giganta. Myliłem się. Sprawdziło się to, co w eseju z roku 1909 pt. *What I Feel About Walt Whitman* napisał Ezra Pound: „Whitman jest wstrętny jak przyprawiająca o mdłości pigułka, ale dobrze robi”. I mnie też dobrze zrobił; jak Pound zawarłem z nim pakt i zabrałem się do roboty. Początkowo nie bez wewnętrznych oporów przedzierając się przez gąszcz *Zdźbeł...* (sam zawsze byłem zwolennikiem poetyki bardziej uładzonej i zdyscyplinowanej), później jednak — a to „później” trwało krótko — praca zaczęła mi sprawiać przyjemność. I nie była to wcale satysfakcja tłumacza-masochisty. Po z górą roku maszynopis złożyłem w wydawnictwie, a następne cztery lata przeleciały jak z nieba trzaski...

● Było w Polsce kilka wyborów liryki Whitmana, Ty jednak powierzasz czytelnikom zestaw najobszerniejszy (i w wersji dwujęzycznej). Poza tym, co równie ważne, i tym wyborem, i swoim interesującym posłowiem wskazujesz inne niż dotychczasowe odczytania tej twórczości.

— Walta tłumaczy się w Polsce od stu dwudziestu lat, ale pierwszy wybór pt. *Trzy poematy* autorstwa Stanisława Vincenza wyszedł dopiero trzydzieści lat po śmierci poety, drugi, pt. *25 poematów*, w tłumaczeniu Stefana Napierskiego, pojawił się w roku 1934; po wojnie, w roku 1966, ukazały się *Zdźbła trawy* i pięć lat później *Poezje*

wybrane. Odnoszę wrażenie, że dwa pierwsze zbiory trochę się zestarzały, natomiast dwa powojenne, będące zresztą dziełem wielu, często znakomitych tłumaczy, z natury rzeczy są poetycko niejednorodne. Może to dobrze, jeśli każde kolejne pokolenie czytelników otrzymuje nową wersję znakomitego klasyka?... Na mój zestaw składa się zarówno pewien nieodzowny kanon czy część kanonu, bez którego książka byłaby nie do pomyślenia — z dużym wahaniem proponuję inne odczytania utworów znanych wcześniej, jak i wiersze nie znane, pochodzące najczęściej z końcowego, mniej rozpoznanego okresu twórczości Walta. Ale nie tłumaczyłem wielu moich ulubionych wierszy, na przykład *Miracles*, bo uznałem przekład Miłosza za świetny. Notabene, również świetne tłumaczenie tego samego utworu, pióra Barańczaka, znalazłem niedawno w jednym z numerów lubelskich „Kresów”. Podobnie było z kilkoma wierszami w przekładzie Artura Międzyrzeckiego czy Juliusza Żuławskiego.

Żdźbła trawy, dzieci, frezje, zające...

Z ANDRZEJEM SZUBĄ
rozmawia Krzysztof Lisowski

● Przyznasz, że ostatnie lata nie były w Twoim przypadku kryzysowe — teraz Whitman, w roku ubiegłym przekład „Stu wierszy” Stephena Crane’a i Twój nowy zbiorek „Oddech jak Twój”. Często współpracujesz z krakowskim Wydawnictwem „Miniatura” — dlaczego?

— Ostatnie dwa lata rzeczywiście były wyjątkowo obfite. Poza wymienionymi przez siebie zbiorami w WL ukazała się *Antologia z wyspy fok* George’a Mackaya Browna, najwybitniejszego żyjącego poety szkockiego, w „Śląsku” *Interferencje* innego ważnego Szkota, Edwina Morgana, poza tym, między innymi, zbiorów erotyków brytyjskich, mała osobista antologia współczesnych wierszy angielskich i amerykańskich przygotowana wspólnie z Tadeuszem Sławkiem, dwujęzyczny zbiorek wierszy Whitmana pt. *Kobieta czeka na mnie*. A weszłym roku, po dziesięciu latach, doszło wreszcie na scenie Teatru Studyjnego w Łodzi do polskiej prapremiery sztuki *Trawestacja* Toma Stopparda w moim przekładzie. Kilka pozycji wydrukowało Wydawnictwo „Miniatura” (na przykład „miniaturowy” Walt ukazał się kilka miesięcy wcześniej od „dużego” WL-owskiego), z którym współpracuję od czasu, kiedy na opublikowanie książki czekało się jeszcze cztery, pięć lat. Pięć miesięcy to nie pięć lat...

● Jesteś — prawie od początku istnienia naszego pisma — współpracownikiem „Dekady Literackiej”: przekłady wierszy Ferlinghettiego i imagistów, amerykańskich haiku i poezji ZEN. Wszystko to świadczy o Twojej niezwykłej pracowitości i rozległości zainteresowań...

— Rzeczywiście pracowitym zrobiłem się stosunkowo niedawno, kiedy wydanie książki przestało być problemem. Wcześniej, perspektywa kilkuletniego czekania na druk działała na mnie deprymująco i demobilizująco. W sumie jednak udało mi się opublikować — w książkach i czasopiśmie — przekłady wierszy około dwustu poetów — głównie Amerykanów i Brytyjczyków — plus rzeczy Szuby, autora, na którym mi najbardziej zależy. Ale jestem już bardziej niż kiedyś wybredny w doborze translatorskiego materiału. Szkoda czasu na pozycje drugorzędne i towarzyskie serwity.

● Ale zaczynasz od poezji i eseistyki. Jak oceniasz swoje wczesne dokonania?

— Zdecydowanie negatywnie. Jeśli chodzi o wiersze, to prawie nie z tego, co pisałem w latach 70., nie potrafię dla siebie ocalić. Dziwię się niepomiernie, kiedyś ktoś wypowiada się na temat moich dawnych wierszy pozytywnie.



Andrzej Szuba

gę wyplakać się Waltowi w mankiet. Zresztą on to uwielbia. A co do twego stwierdzenia, że „realizuję postulat minimum słów”, to nie jestem całkiem pewien, czy to „ja go realizuję” czy to on „się realizuje”. Nie dostrzegam w swoim działaniu śladu premedytacji, po prostu inaczej już nie potrafię. Jestem poetyckim krótkodystansowcem, sto metrów i wystarczy. Już czterysta metrów przyprawiłoby mnie o zadyszkę, co dopiero czternaście linijek... Niemieckie słowo „dichten” znaczy zarówno „zgeszcząć” jak „pisać wiersze”. Coś w tym jest. Całkiem możliwe, że po pewnym czasie takiej mimowolnej praktyki będę miał za plecami już tylko bezsłowną ścianę. „Się skończy”. Nie szkodzi. Nic na siłę.

● Co przygotowujesz do wydania w najbliższym czasie?

— Tej wiosny powinien się ukazać wybór moich wierszy z ostatnich dwunastu lat pt. *Dzieci frezje zające*, a poza tym: *Obraz i wir*, duża antologia anglo-amerykańskiej poezji imagistycznej, którą przygotowałem do spółki z Leszkiem Engelkingiem, wybór w sporej części nie znanych utworów Alena Ginsberga w tłumaczeniu Julii Hartwig, Artura Międzyrzeckiego, Piotra Sommera (który jest również redaktorem tomu) i moim, wybór nie tłumaczonych dotąd w Polsce wierszy ze *Spoon River Anthology* amerykańskiego poety Edgara Lee Mastersa, zbiorów przekładów poezji ZEN pt. *Pieśń cykady* i tomik późnych wierszy jednego z bohaterów beat generation, Lawrence’a Ferlinghettiego. A niedawno skończyłem pracę nad przekładem niewielkiej, czterdziestokilkustronicowej książeczki zmarłego prawie pięćdziesiąt lat temu szkockiego poety Williama Soufata pt. *The Diary of a Dying Man*. Jest to autobiograficzny zapis ostatnich czterech miesięcy życia umierającego autora. Ostatni fragment dziennika zapisany został na kilka godzin przed śmiercią poety. Wspomniała, niezwykła, heroiczna proza, pierwsza proza, jaką tłumaczyłem od lat. Wzbudziła moje zainteresowanie, więc musi w niej coś być.

● Słyszałem o reaktywowaniu kato-wickiego kwartalnika „Studio”, który ukazywał się parę lat temu. Opowiedz coś o planach tego pisma, jego profilu, autorach.

— Po kilkuletniej, spowodowanej administracyjną decyzją przerwie („Studio” ukazywało się nieregularnie w latach 1981—86) wychodzi kolejny, dziewiąty numer, krótko po nim ukaże się dziesiąty. W zespole redakcyjnym jak dawniej, między innymi, Bożena Tokarzowa, Tadeusz Sławek, ja, a przede wszystkim jego redaktor naczelny, inicjator i wskrzesiciel Staszek Piskorz, bez którego pismo tak jedenaście lat temu jak i dzisiaj byłoby nie do pomyślenia. Nie zmienił się zespół redakcyjny, więc nie zmienił się również interdyscyplinarny profil pisma. Także autorzy podobni — wszyscy ci, którzy w swoich dziedzinach mają coś istotnego do powiedzenia. Serdecznie zapraszamy cię do współpracy.

● Wybierasz się do Ameryki na obchody rocznicy śmierci Whitmana...

— Wybieram się za to wielkie morze jak pewna sółka. Ale nie wszystko zależy ode mnie. Ja swoje zrobiłem. Nie mój ruch teraz.

Znacznie krócej niż Stanisław Wygodzki pozostawał w strefie dominacji stalinizmu Piotr Guzy. Ten żołnierz dywizji pancernej generała Maczka powrócił do Polski w 1949 roku, aby po kilku trudnych latach opuścić ją na stałe. Po wyjeździe znalazł zatrudnienie w rozgłośniach radiowych BBC, a następnie RWE. Obecnie siedemdziesięcioletni twórca nadal pozostaje w Wielkiej Brytanii.

Piotr Guzy wydał przed wyjazdem czterdzieści powieści w kraju. Uznanie krytyków i publiczności przyniosło mu dopiero książki opublikowane na uchodźstwie. Nagrodą „Kultury” uwieczono w 1967 roku *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, natomiast londyńskie „Wiadomości” uznały *Stan wyjątkowy* za najlepszą powieść wydaną w emigracji w roku 1968. Dzieła te przedstawiają obrazy beznadziejnej rzeczywistości powojennej Polski — państwa „stanu wyjątkowego”, które trwale degeneruje wszystkie warstwy społeczne podległe jego wpływom, ale najdotkliwiej niweczy życiorysy i sumienia inteligencji.

Pierwsza z wymienionych powieści należy ściśle do nurtu rozrachunkowego. Traktuje ona o położeniu pracowników UB po październiku 56 r. Pisarz użył w tym celu monologu jako formy najspodobniejszej dla spowiedzi z przegranego życia majora Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Jest to oznaka intencji politycznych powieści równie wyrazista, co jej motto z poematu Tadeusza Różewicza *Spadanie*.

Nie dziwi też, że Piotr Guzy, uciekinier z PRL, w „Krótkim żywocie bohatera pozytywnego” wybrał pamflet jako środek komunikowania wolnym społeczeństwem własnej wiedzy o funkcjonowaniu policyjno-partyjnego państwa, w którym zdołał wytrzymać ledwo osiem lat

Wystarczająco długo, by dać literacką egzegezę koszmarów życia w kraju „stanu wyjątkowego”. W pojęciu tym mieści się definicja losu trzech różnych pokoleń Polaków pod rządami komunistycznymi. Żadna z tych generacji nie akceptuje ustroju, który urąga sprawiedliwości społecznej, marnotrawi ekonomiczne wysiłki obywateli i odbiera wszelką nadzieję odmiany swojej doli zarówno weteranom, jak i najmłodszym mieszkańcom Ludowej Rzeczypospolitej. Dzieło Guzego zasilają dwa źródła: osobista odraza do reżimu i przyswojenie dorobku Alberta Camusa. *Krótki żywot bohatera pozytywnego* nawiązuje do stylizacyjno-kompozycyjnych właściwości narracji *Upadku* żywo w Polsce komentowanego już od roku 1956. Świadczy o tym, między innymi, repliki poetów oraz prozaików odwołujących się do *La Chute* bezpośrednio, np. Wzlot Jarosława Iwaszkiewicza (1957), albo późniejsze o sześć lat *Spadanie* Tadeusza Różewicza.

Tematem powieści Guzego jest upadek ubeka Karola Ostudy, kierownika powiatowego Wydziału Bezpieczeństwa z Najdżryc. Groteskowo tragiczny bohater „pozytywny” strwonił żywot na posłusznym wypełnianiu instrukcji, dyktand i rozkazów partii, która po październiku usiłowała uwiarygodnić swoją nową więź z masami kosztem prowincjonalnych urzędników i pracowników UB. Wypada zauważyć, że Piotr Guzy posłużył się mało wyrafinowanym bodźcem obrachunku. Jego Ostuda przeprowadza wewnętrzny remanent swojego życia po telefonicznym wezwaniu do KC w stolicy, co jest sygnałem przeczuwanej nielaski i degradacji.

Technika narracji monologicznej analogiczna do Camusowego „Upadku” umożliwiła autorowi powieści charakterystykę człowieka wyobcowanego „od środka”

W tym przypadku wszakże alienacja ma zasięg ogólniejszy. Dotyczy bowiem całej grupy pracowników Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w okresie przewycięzania błędów i wypaczeń,

kiedy w najwyższych władzach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zapanała moda na gadanie „o liberalizacji i praworządności”¹. Przy czym Guzy kieruje monologiem Ostudy tak, żeby nawet słabo zorientowany czytelnik pojął, iż „przewycięzanie wypaczeń” to zaledwie lichy substytut prawa rządności. Wymuszone przez kryzys ustępstwo władzy, polegało na zastąpieniu jawnego bezprawia pozorami sprawiedliwości, totalnego zniewolenia —

su ideologicznego, argumentacji krytycznej czy światopoglądowych uogólnień.

Piotr Guzy zdezawuował tak zwany Gomułkowski przełom październikowy jako nowy etap walki o władzę, wymagający rezygnacji ze stalinowskich praktyk i „bohaterów pozytywnych”, którzy krzewili ustrój socjalistyczny za pomocą terroru i szalbierstwa — zaleźnie od etapowej taktyki przywództwa partyjno-policyjnego.

EMIGRACYJNE ROZRACHUNKI ZE STALINIZMEM po 1956 r. (cz. II)

PIOTR GUZY: „Krótki żywot bohatera pozytywnego” (1966)

Stanisław Gawliński

niewo dyskretniejszą kontrolą wszystkich i wszystkich. Uzasadnieniu tego przekonania służą choćby opinie osoby z najbliższych kręgów kontroli partyjnej Komitetu Centralnego, która wyjawia bohaterowi powieści rzeczywiste motywy polityczne i tło wypadków poznańskich:

„Czy jesteście tak naiwni, towarzyszu, że myślicie, żeśmy nie wiedzieli co się dzieje i czym cała rzecz pachnie? Przecież myśmy nawet wzięli opróżnili, aby mieć miejsce na nowych aresztantów. Kto rozbijał sklepy na Dąbrowskiego? Nasi ludzie! Kto podjuzzał tłum? Jak to się stało, że tak łatwo znaleźli dostęp do broni? (...) Jak długo w Poznaniu trwał strajk? Dwa tygodnie. Myśmy zupełnie dobrze zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później robotnicy wyjdą na ulicę. Mogliśmy do tego nie dopuścić, ale nie ruszyliśmy palcem. Dlaczego drogi towarzyszu Ostuda? Urzytomnijcie sobie, jaka była wówczas sytuacja w kraju. Paskudna. Brak towarów na rynku, drożyzna, fala strajków zataczała coraz to większe kręgi, ogólne wrzenie po XX Zjeździe. Sytuacja nie mogła być gorsza. Poznań zdarzył się w sam raz. (...) Myśmy w Poznaniu uczyli polską klasę robotniczą, obalamuconą przez różnego rodzaju demagogów, respektu dla Władzy Ludowej. Po tej rzezi już nikt nigdy w Polsce nie podniesie łapy na Władzę Ludową”².

Jest sprawą oczywistą, że takie cynicznie szczere diagnozy wydarzeń politycznych nie mogły się znaleźć w żadnym utworze rozrachunkowym wydrukowanym oficjalnie w kraju.

Ale też ambicje demaskatorskie Piotra Guzego wyraźnie górują nad standardowymi obrachunkami z „kultem jednostki”

On chciał napisać coś więcej, aniżeli fabularną opowieść o błędach partii, jakich wiele powstało w PRL oraz gdzie indziej na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Guzy zainteresowany był fenomenologią systemu komunistycznego w nie mniejszym stopniu niż Milovan Djilas, członek politbiura Związku Komunistów Jugosławii, który z autopsji znał wynaturzenia elit władzy partyjnej całego obozu państw zależnych od modelu funkcjonowania sowieckiego. Wpływy jego rozprawy politologicznej *Nowa klasa*, która zdobyła światową popularność w 1962 roku, widoczne są w prozie politycznej polskiego emigranta. Szczególnie wyraźnie w sferze dyskur-

Stateczny wniosek z tak ironicznego rozumowania zawiera pointa powieści. Scena finałowa posiada niewątpliwie symboliczne znamiona. Oto niepożrebny nikomu powiatowy funkcjonariusz UB dogorywa na śmietniku. Guzy spożytkował tę sekwencję słów i motywów, ażeby postawić kwestię właściwych relacji pomiędzy władzą ludową a proletariatem:

— „A wy za kogo się macie, towarzyszu Belczyński, żeby polską klasę robotniczą uczyć respektu dla Władzy Ludowej? Wy się nie uważacie za członka klasy robotniczej? A w ogóle waszym zdaniem Partia to już nie klasa robotnicza? A co? Może wam się wydaje, że jakaś klika, która zagarnęła przy pomocy bagnatów radzieckich władzę dla siebie i tylko lud bałamuci socjalistycznymi hasłami?”³

W gorące zdań pytających zagęszcza się ideaowa osnowa rozrachunkowej powieści Piotra Guzego. Odpowiedź na pytania majora Ostudy rozwleka się w długim, pijacko bekołliwym monologu *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego*.

Można ją także zawrzeć w formie nierównie bardziej lapidarnej. Postąpił tak Milovan Djilas w odpowiednim akapicie *Nowej klasy*, gdzie znajdujemy czarno na białym:

„Państwo komunistyczne, zbudowane na fundamencie siły i przemocy znajduje się w nieustającym konflikcie ze społeczeństwem i dlatego musi mieć charakter militarny bez względu na okoliczności zewnętrzne”⁴.

I dla jugosłowiańskiego znawcy, i dla polskiego emigranta specyfika władzy komunistycznej sprowadza się do tego, że monopolizuje ona idee, instytucje rządzenia, a także wszelką własność

Starają się oni przekonać czytelników o tym, iż głównym i wyłącznym celem, nie tylko stalinowskiego, komunizmu jest władza zawarowana dla nowej klasy, partyjnej biurokracji albo czerwonych mandarynów, jeżeli ktoś woli tę nazwę nieodmiennie tego samego zjawiska. Cała retoryka demokracji ludowej, powszechnej sprawiedliwości, równości, dobrobytu, postępu etc., etc., jest zaledwie techniką kamuflowania zasadniczego celu.

Piotr Guzy, zreczny imitator języka stalinowskich aparatczyków osiągnął też spore sukcesy w demaskacji istoty systemu komunistycznego. Dlatego nie sposób odmówić słuszności Marii Danilewicz-Zielińskiej, kiedy w *Szkicach o literaturze emigracyjnej* sprzed piętnastu lat przekonywała wszystkich zainteresowanych o tym, że autor *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego* dał nam „reprezentacyjną powieść polityczną”⁵. Zwłaszcza w porównaniu z rozrachunkowymi wytworami doby „małego realizmu”: Bogusława Koguta, Tadeusza Kwiatkowskiego, Stanisława Stanucha czy Jerzego Putramenta, którzy w latach sześćdziesiątych energicznie zajęli się wyjaśnianiem dramatów ludzi partii.

¹ P. Guzy, *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, Paryż 1966, s. 118.

² j.w., s. 125—126.

³ j.w., s. 127.

⁴ M. Djilas, *Nowa klasa*, Warszawa 1961, s. 106.

⁵ M. Danilewicz-Zielińska *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 355.

Agata Mamoń

WIDOK Z OKNA

najważniejszy jest widok z okna

niebo to nie kolor ciemniejący wieczorem w tafl matowej szyby
ale wolna struga powietrza
błękitna nad niedościgną linią horyzontu
nieprzekreślona pionem i poziomem krat

ostrze światła nie przeciska się szparami
pozostawionymi przez nieuważnych strażników
lecz rozświetla oczywistość pokoju
rysując kontur stołu i krzesła
przedmiotów z pozoru zwyczajnych

deszcz znany jedynie z dźwięku
pozbawiony kropel i szarości
teraz mokry jak oczyszczenie
obmywa chropawość asfaltu ulicy

czerń gałęzi za oknem zdaje się
japońskim rysunkiem na jedwabiu ciemny
równie nietrwałym pięknem
kiedy przymknąć oczy

tylko pamięć nieco mniej śmiertelna
w skłębionych zwojach myśli pisze
znak powietrza i niewoli

styczeń 1987

CZESŁAW MIŁOSZ

Wspominając Wandę

Wanda Telakowska (1905—1985), niegdyś popularna postać artystycznej Warszawy, drzeworytniczka, odznaczająca się potężnym wzrostem, organizacyjnym zapalem i zmysłem humoru. W międzywojennym dwudziestolecu opracowała projekt wzornictwa przemysłowego, opartego na rękodziele ludowym, w pierwszym rządzie na motywach tkactwa Białostoczczyzny i Wileńszczyzny. Jej idea piękna na co dzień pochodziła częściowo z rodzimych źródeł (Norwid), częściowo z obserwacji krajów skandynawskich, w których przemysł (tkaniny, meble, ceramika) sięgnął do źródeł ludowych. W Polsce projekt zaczął być popierany przez niektóre ministerstwa (powstała też wtedy spółdzielnia „Ład”).

Dorobek Telakowskiej, jej własne drzeworyty barwne i przygotowane do druku rozprawy, spłonął podczas powstania w 1944 roku. Po wojnie wierzyła w możliwość zorganizowania państwowych zakładów w taki sposób, że produkowałyby i na użytek wewnętrzny, i na eksport rzeczy piękne wzorowane na rodzimych motywach. Natrafiła na opór i przejście od wzorów do produkcji seryjnej okazało się niemożliwe. Kolekcyjnie pojedynczych eksponatów wysłana do New Yorku przekonała wielkie handlowe przedsiębiorstwa, zapytano jednak, gdzie są serie. Wyprawa Telakowskiej w 1948 roku do Ameryki miała na celu zdobycie rynku dla eksportu, przede wszystkim tkanin. Udało się jej zainteresować potencjalnych nabywców, ale w ślad za tym nie poszła żadna podaż z Polski. Próbowalem jej pomagać, niestety jej wypadek, daremnych starań społeczniczek pełnej pasji służenia krajowi, był typowy dla ówczesnej Polski.

No i tak, Wando z tamtej Warszawy.
Niech żywi udają, że ich nie obchodzi
Śmierć, zbyt codzienna i pospolita.
A ja nie rozumiem. Bo czy to możliwe:
Żyć i pamiętać, że idzie godzina
I spokojnie czekać swojej kolei?
Coś musi być zrobione. Jakies pochody protestu,
Jakies tarzanie się, wycie, przeklinanie.
Żebyż choć szkielec z kosą albo nożyce Parki,
Albo gwiazda, za każdą duszą spadająca.
A tu nic. Dwie linie nekrologu
I potem już na zawsze zapomnienie.

Nie wdaliśmy się nigdy ze sobą w romanse.
Podróżując, braliśmy dwa pokoje,
Ponieważ seks jest diabelski. Tak wierzyłem
I nadal to podtrzymuję. A ktokolwiek
Sądzi inaczej, oddaje się
We władzę Ducha Ziemi, który dobry nie jest.
Można to robić, ale z własną żoną.
A zresztą, Wando, nie byłaś pokusą.
Duża, ogromna i raczej nieładna,
Kompan przy stole od tłustych rechetów,
A pod nią druga Wanda, nieśmiała i rzewna,
Pomna, choć i wstydliwie, na swoje panieństwo.

Od różnych smutków ratuje nas projekt.
Uczynić państwo pomocnikiem sztuki.
Fabryki i warsztaty miały tworzyć piękno
Na co dzień, tak jak dawniej wiejskie rękodzieło.
Eleganckie żony ministrów słuchały.

(O, eleganckie żony ministrów,
gdzie wy, w jakim
departamencie zapomnienia
malujecie usta, zatraskujecie
torebkę?)

Podczas wojny widywaliśmy się z Wandą u Iwaszkiewicza na Stawisku. Z jej wojennych przeżyć zapamiętałem te, które świadczyły o jej przytomności umysłu. Na przykład kiedy znalazła się w łapance na skraju Pola Mokotowskiego koło Polnej. „Brali wszystkich, szli wprost na mnie. Co miałam robić?”

W ostatniej chwili kucnęłam i podniosłam spódnice. I zandarm jednak zawstydzil się słuszącej baby, przeszedł, udął, że mnie nie widzi”. Albo kiedy po Powstaniu znalazła się w Zakopanem, mieszkała w górach i Niemcy robili oblavy na warszawiaków. „Dobijali się do drzwi, wtedy ucieklam na podwórce do szopy z owcami, tam odwróciłam futrem do góry moją wyniesioną z Warszawy pelisę i stanęłam na czworaki między owce. Niemcy zajrzeli do szopy, widzą, stoją owce, i poszli!”

Być świadkiem i próbować przypomnieć co było,
To nie może się udać. Tak i ja.
Wiem tylko, że minęło: tamto miasto,
I na ruinach sława Krasnoj Armii,
I Wanda, która właśnie próbuje przekonać
Dłubiących w nosie chłopków za biurkami,
Ze warto, trzeba, że państwo powinno.

Bez szlachty i bez Żydów, niemrawo i sennie
Coś tam robili, ale nie za dużo.
A każda śmiałość była dla nich pańska,
Fanaberyjna i jakaś eee.

Byłaś ty, Wando, z tych co chcą naprawić
Skrzywiony globus. Ludziom co do tego?

I oto starość. Może wspominałaś
Tę naszą podróż do San Francisco
Na którą nam obojgu starczyło nadziei?
Co z tego, że medale i krzyże zasługi,
Kiedy zostałaś ze swoją przegraną,
Samotna, niepotrzebna i ślepnąca.

Znieść to. I znoszą to ludzkie istoty,
A cokolwiek się powie, jest za późno.

Wypisy

z ksiąg użytecznych

O miłości (I)

RANKIEM

według sanskrytu

Rankiem
trzymając lustro
młoda kobieta
dotyka palcami
swojej czerwonej
wargi i
koniuszkiem języka
oblizuje ją
uśmiechając się,
admirując swoje oczy.

Cesarz Chieu-Wen Liang

WSTAJĄC W ZIMIE

według Rexrotha

Zimowy ranek.
Błady słoneczny promień na suficie.
Wstaje z łóżka niechętnie.
Jej strój nocny jest przepasany jasnożółtą szarfą.
Ściera rosę ze swego lustra.
W tej godzinie nikt jej nie zobaczy.
Ale dlaczego maluje się tak wcześnie?

POMIĘDZY

z sanskrytu według Vidyapañi

Nie pomogą kosmetyki —
Ani róż, ani tusz, ani malowanie ust.
Nic nie pomoże.
Choć kunsztownie układam włosy,
Choć ozdabiam szyję klejnotami,
Na nic, bo nie jestem już podobna
Do tej ślicznej dziewczyny którą byłam
I do której ciągle jeszcze tęsknię.
Moja piękność przeminęła.
Doskonale wiem,
Że w tym wieku kokietaria tylko mnie ośmiesza.
Wiem a jednak stroję się przed lustrem
Niby zakochana uczennica,
Obmyślając każdy szczegół,
Byle tylko spodobać się jemu.

Pożądanie ma tnie w swojej mocy...

Miotam się
Między upokorzeniem i pragnieniem,
Przyzwoitością i żądzą,
Rozpadem i odrodzeniem,
Zgubą i wyzwoleniem.

Wiersz „Wspominając Wandę” ukazał się w poprzednim, specjalnym wydaniu „Dekady”. Z powodu wszakże niedopatrzienia technicznego uzyskał nie w pełni jasną postać graficzną. Drukujemy go więc raz jeszcze w postaci właściwej licząc, że jego powtórna lektura sprawi przyjemność Czytelnikom.

OD AUTORA

Postać JANA KARSKIEGO, legendarnego emisariusza Polski Podziemnej, była dla mnie od dawna literacką i historyczną fascynacją. Potęgowało ją jeszcze wieloletnie milczenie, daleko idąca skromność i rezerwa w relacjonowaniu wojennych wspomnień, którą to właściwość Jan Karski zachował w znacznym stopniu do dziś. Pozostała więc przez długi czas lektura kserokopii jego raportu z historycznej już misji i nerwowa krzątanina w poszukiwaniu materiałów i relacji.

Pełniejszym głosem przemówił właściwie Karski dopiero po trzydziestu latach od zakończenia wojny, już jako wybitny politolog, autor wielu dzieł naukowych i publicystycznych, profesor Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie, a stało się to też raczej na skutek szczęśliwego przypadku: odnalazł go w Stanach Elie Wiesel, laureat Pokojowej Nagrody Nobla i jeden z przywódców ruchu upamiętniającego holocaust. Dopiero on, jako pierwszy, wydobyl na światło dzienne jego wojenne dzieje i rolę, którą w tamtych latach odegrał. Była to rola niewdzięczna i trudna, a także jakże mało na pozór znacząca w obliczu ogromu militarnych i dyplomatycznych rozgrywek toczonych przez wielkie mocarstwa. Ale właśnie zajadły upór, bicie do końca głową w niewzruszony mur ludzkich sumień i bezgraniczna ofiarność młodego wów-

czas wysłannika walczącego kraju, lepiej chyba niż zwycięskie boje naszych wojsk na różnych frontach egzemplifikują tragiczny los Polski. Pozwalają też, jak sądzę, bardziej wnikliwie zrozumieć dwuznaczną postawę sojuszników, a przede wszystkim uzależnienia i wszelkie zawilości polskiej sytuacji, której tragicznym ukoronowaniem stała się Jałta.

Jan Karski przeszedł do historii jako ten, który jeden z pierwszych zaalarmował świat o zbrodniach ludobójstwa na narodzie żydowskim. Po latach ten największy zbiorowy mord w dziejach znany będzie pod nazwą holocaustu. Ale wcześniej Karski określił go jeszcze inaczej: jako drugi grzech pierworodny popełniony przez ludzkość.

Dopiero w połowie 1991 roku dane mi było zetknąć się bezpośrednio z bohaterem tej książki. Rozmowy z nim, jego ekscytujące wykłady a także zapoznanie się z ważnymi źródłami tak w kraju, jak i za granicą, stały się podstawą tego historycznego reportażu.

Przyjęta konwencja zakłada, rzecz jasna, pewną dozę swobody dla literackiej wyobraźni. Po latach jest rzeczą niemal niewykonalną wierne odtworzenie faktów. Można natomiast i należy dokonywać próby dotarcia do wydarzeń jak najbliżej. Nie jest to wszakże zbiór dokumentów ani naukowa rozprawa, lecz opowieść o nie do końca rozpoznanym fragmencie naszych najnowszych dziejów.

MISJA

OSTATNIEJ NADZIEI (II)

Jerzy Korczak

Pracuję dwie godziny trwał niemal monolog. Uczony, pan minister Kot mówił i mówił, często odskakując od głównego tematu i nie dopuszczając go właściwie do głosu. Tylko rzadko udawało mu się wtrącić jakieś pytanie, a było ich przecież multum. Jeszcze nie do końca oswoił się z nowiną, którą pięknego majowego ranka przekazał generał: w najbliższych dniach ma wyruszyć do Stanów ze specjalnym zadaniem. Nie odbiegało ono w zasadzie od tego, co robił dotąd. Miał informować o sytuacji w kraju, mobilizować opinię publiczną wokół polityki rządu, dobijać się o pomoc dla Żydów. Znaczenie tej misji jest szczególnie: istnieje duża szansa, że przyjmą go najbardziej wpływowi ludzie w Stanach, a także sam Roosevelt. Ma się o to postarać osobisty przyjaciel prezydenta ambasador Drexel-Biddle. Jeśli do tego dojdzie — a Biddle słów na wiatr nie rzuca — będzie to szansa, która może się już nie powtórzyć. Najpotężniejszy człowiek w alianckiej koalicji usłyszy z pierwszych ust o walce żołnierzy Polski Podziemnej i o tym, co w okupowanym kraju, wyprawiają Niemcy. W Waszyngtonie opiekę nad nim przejmie Jan Ciechanowski, nie tylko ambasador Rzeczypospolitej, lecz także czarujący człowiek o szerokich kontaktach, dobrze wprowadzony w najrozmaitsze tajniki amerykańskiego życia politycznego. Na koniec padło ostrzeżenie: nie wolno mu popełnić błędów, który wydarzył się w rozmowie z Edenem.

Generał czasu miał dla niego mało. Tym razem podróż na Bliski Wschód nie była żadnym kamuflażem, lecz gwałtowną koniecznością; nastroje wśród oficerskiej kadry wymagały jego szybkiej obecności. Toteż myślał tkwił gdzie indziej i po dalsze instrukcje kazał zgłosić się do ministra Kota, jeszcze jednej szarej eminencji przy osobie premiera. Kot był przeciwnikiem Retingera; tamten działał w głębokim cieniu, profesor wręcz przeciwnie — wciąż musiał być na pierwszej linii.

Idąc na tę rozmowę „Witold” wiedział, że czeka go zalew najróżniejszych informacji; dominować będą

przestrogi i sugestie dotyczące personalnych układów. Wróg, to według Kota, każdy, kto choćby otarł się o sanację; w byle urzędniczej plotce upatrywał śmiertelnego zagrożenia. Takim go zapamiętał z owej pierwszej wojennej zimy w Angers i Paryżu, gdy jako ówczesny minister spraw wewnętrznych także i jego, kuriera z kraju, egzaminował przede wszystkim pod tym właśnie kątem.

Wśród szerokiej opinii uchodził za intryganta i obsesjonata, ale istniała także druga prawda, z którą wielu najbardziej wpływowych polityków musiało się liczyć: był starym i wypróbowanym przyjacielem Sikorskiego jeszcze z czasów pierwszej wojny. Razem pracowali wówczas w Narodowym Komitecie Narodowym, obaj też, znacznie już później, doznali wielu krzywd i szykan od sanacyjnej władzy.

To wszystko nie miało teraz znaczenia. Ważna była tylko amerykańska wyprawa i to, co powinien tam zdziałać.

Profesor jednak niewiele się zmienił. Wciąż wietrzył wszędzie nieprzyjaciół. Każde niemal zdanie wiązało się z ostrzeżeniem przed tym i owym, przed taką czy inną polonijną organizacją. Myślą przewodnią jego wywodów była kategoryczna rada, aby z Polakami starał się nie spotykać. „Od razu zaplątaj cię w jakieś brudne sprawy, zrobisz z ciebie agenta, zdrajcę, intryganta, Bóg jeden wie, jaką łatkę ci przypną. A potem, zamiast robić ważną dla Polski robotę, będziesz się musiał długo tłumaczyć z nie popełnionych grzechów”.

Te zdania miał w uszach, gdy potężny czterosiłnikowy „liberator”, pełen pasażerów w cywilu i w mundurach niemal wszystkich alianckich armii, od dłuższego już czasu szedł nad oceanem. Były gorzkie, ale niestety prawdziwe. Jego własne londyńskie doświadczenia potwierdzały to aż nadto. Wciąż od nowa nachodziła go refleksja: tyle ofiarności i bohaterstwa i tak wiele małości. Jak można to pogodzić? A jednak taka była polska rzeczywistość. Pozostało tylko jedno: dalej robić swoje, a zgłębianie zagadek naro-

dowej mentalności zostawić na po wojnie.

Sięgnął do teczek po najnowszą prasę kupioną już na lotnisku. Obok papierów i notatek tkwiły dwa ważne listy. Jeden, ten od Mikołajczyka, miał charakter urzędowy, zawierał wspaniałą charakterystykę jego osoby i podkreślał wagę zleconej mu misji. Ale ten drugi, choć o wiele krótszy, był chyba cenniejszy. Edward Raczyński zwracał się do swego przyjaciela ambasadora Jana Ciechanowskiego w tonie całkiem prywatnym. Treść była podobna, a jednak między wierszami kryło się coś więcej: wielka serdeczność i głęboka wiara, że właśnie on, emisariusz Jan Karski, może dokonać w Stanach dla polskiej sprawy czegoś naprawdę istotnego. Kiedy minister czytał mu swoje pismo, czuł się trochę tak, jakby go wsadzono w garnitur na wyrost. Rzucał się przecież na oślep w nieznaną i całkowicie obcą. To zapewne czarodziej Recio przemienił mgliste projekty w fakty dokonane. Jego rękę wyczuwał od pierwszego momentu, gdy po raz pierwszy padło słowo: Ameryka. A teraz kości zostały rzucone i odwrotu już nie ma.

Odchylił firankę. Gruba warstwa chmur płynęła pod nimi. Lecieli na dużej wysokości. Nagle podświetlony słońcem cumulus zastąpił się, złociste promienie uderzyły po oczach, wyłoniła się tam w dole bezkresna plama. Chwilę wodził wzrokiem po gładkiej powierzchni oceanu. Przypomniało mu się kazanie, którego w polskim kościele wysłuchał ostatniej niedzieli. Młody ksiądz ogromnie sugestywnie mówił o wniebowzięciu Eliasza, o dokonywanych przez niego cudach: ogień z niebios pochłaniający wrogów, woda rozstępująca się pod uderzeniem zwiniętego płaszcza, wreszcie ów wzlot ku niebu na ognistym wozie zaprzężonym w rumaki. Westchnął do siebie: gdyby tak te Eliaszowe cuda mogły stać się jego udziałem!

Niebo z wolna zaczęło ciemnieć, ukazały się pierwsze gwiazdy. Nie wiedział, kiedy zmorzył go sen. Zobaczył wyraźnie jak na jawie pędzący w górę ognisty rydwan z brodatym prorokiem w środku. Prorok jedną ręką powoził, drugą przycisnął do siebie z całych sił drobna, bladą postać. Tą postacią był Izio Fuchs ze swoimi świętymi księgami pod pachą. Szybko poruszał ustami, o coś prosił, coś rozpaczliwie wykrzykiwał, ale treść słów ginęła w przestrzeni. Rydwan pędził w górę jak

rakieta, zionął ogniem. W pewnym momencie jakiś wiotki i niekształtny przedmiot zaczął opadać z rydwanu, koziółkował w powietrzu, miotany wiatrem zmieniał kierunek, aż z głośnym pluskiem wpadł do wody: płaszcz Eliasza.

Ocknął się. W oczach miał ciemność. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co się wokół dzieje. Ale już z sąsiedniego fotela poderwał się angielski kapitan i usłużnie pomógł mu ściągnąć z głowy jego kupiony wczoraj w Londynie burberry, który zesunął się z półki.

Szybko powrócił do rzeczywistości. A w kwadrans potem pilot kazał zapiąć pasy i oznajmił, że zaraz lądują na amerykańskiej ziemi.

Jan Ciechanowski szybko przebiegł wzrokiem po obu listach, odłożył je na bok i z zadowoleniem pokijał głową.

— Długo czekałem właśnie na kogoś takiego. Zamieszka pan w ambasadzie. Tak będzie wygodniej i bezpieczniejsz. Uniknie się niepotrzebnych wizyt, niezdrowej sensacji ze strony rodaków. To czeka pana i tak, ale zyskamy trochę czasu. A przed nami roboty mnóstwo. Pańskie spotkania będą organizował osobiście. A teraz proszę opowiadać. Co w kraju? Co w polskim Londynie? Chciałbym z pierwszych ust usłyszeć, co się dzieje. Tyle sprzecznych wiadomości.

Tym razem „Witold” mógł mówić o wszystkim całkowicie rozluźniony. Nie musiał, jak przez tyle tygodni w Londynie, zważać na każde wypowiedziane słowo, żaden osąd nie groził politycznymi powikłaniami. Wiedział, że ambasador nie należy do żadnej koterii, lojalny jest tylko wobec rządu, który reprezentuje. Wyczuwał też od pierwszej chwili jego życzliwość; w głęboko osadzonych, szarych oczach tkwiła mądrość i wielkie życiowe doświadczenie. Był pewien, że pod jego kierunkiem uda się wreszcie coś zdziałać. Optymizmu nie mogła nawet zachwiać dziwna obecność, która na każdym kroku rzucała się w oczy. Każdy szczegół życia wydawał się tu inny. Odkrył to już po pierwszych spacerach w okolice 16 Ulicy, gdzie mieściła się ambasada. Panowała tu pełna swoboda w ubiorze i zachowaniu, tak różna od sztywnej powagi Anglików, do której zresztą zdołał przywyknąć. Mało kto zdawał się przejmować wojnę. Także tutejszy język porzucił w uszach dziwnie obco; niektóre słowa i zwroty jakby nie po angielsku. Musiało minąć dobrych kilka

dni, zanim się przekonał, jak wiele z tych wrażeń było mylących.

Z wolna przyswajał sobie amerykańską angielszczyznę, jak również wiedzę, że i tu wojna odmieniła ludziom życie. Tyle że głównym wrogiem byli Japończycy. Żółtoskórą potęgą obawiali się Amerykanie znacznie bardziej niż Niemców. Zdawali sobie sprawę, że w razie zwycięstwa fanatycznie walczących wojsk cesarskich grozi Stanom inwazja. Ta możliwość stała się na dłuższy czas prawdziwą obsesją ludzi we wszystkich środowiskach. Dopiero pod wpływem coraz wyraźniejszych sukcesów amerykańskiej floty na Pacyfiku lęk przed japońską potęgą zaczął ustępować.

Uwaga społeczeństwa przesuwiała się coraz wyraźniej w stronę wrogów z Europy. Ogromne czcionki na pierwszych stronach gazet oznajmiały z triumfem o klęsce wojsk włoskich i niemieckich w Tunisie, wciąż więcej miejsca poświęcano przygotowywanej inwazji aliantów. Trwały nieustanne spekulacje, gdzie uderzenie nastąpi: na Balkany, czy na wybrzeża Francji, a może w sztabie zjednoczonych sił alianckich istnieje jeszcze inny plan, który ostatecznie zmiążdży Hitlera? Ale ponad wszystko rzucała się w oczy wzrastająca fascynacja Amerykanów sowieckimi zwycięstwami. Poważni publicyści niemal co dnia wbijali w głowy czytelnikom, że wkład Stalina jest największy: Armia Czerwona eliminuje setki tysięcy Niemców, niszczy niezliczoną ilość sprzętu, a wszystko kosztem własnych, ciężkich ofiar. I o tym nigdy zapomnieć nie wolno.

Ciechanowski i „Witold” wciąż rozważali, jak te nastroje wpływają na sprawy polskie. Czy polityczna aura sprzyja mówieniu prawdy o sowieckich planach? O wyraźnie już sprzeczowanych w Moskwie decyzjach zagarnięcia ziem wschodnich? O penetracji polskiego podziemia przez agentów NKWD? Odpowiedź była oczywista: horyzont zaciemniał się coraz bardziej.

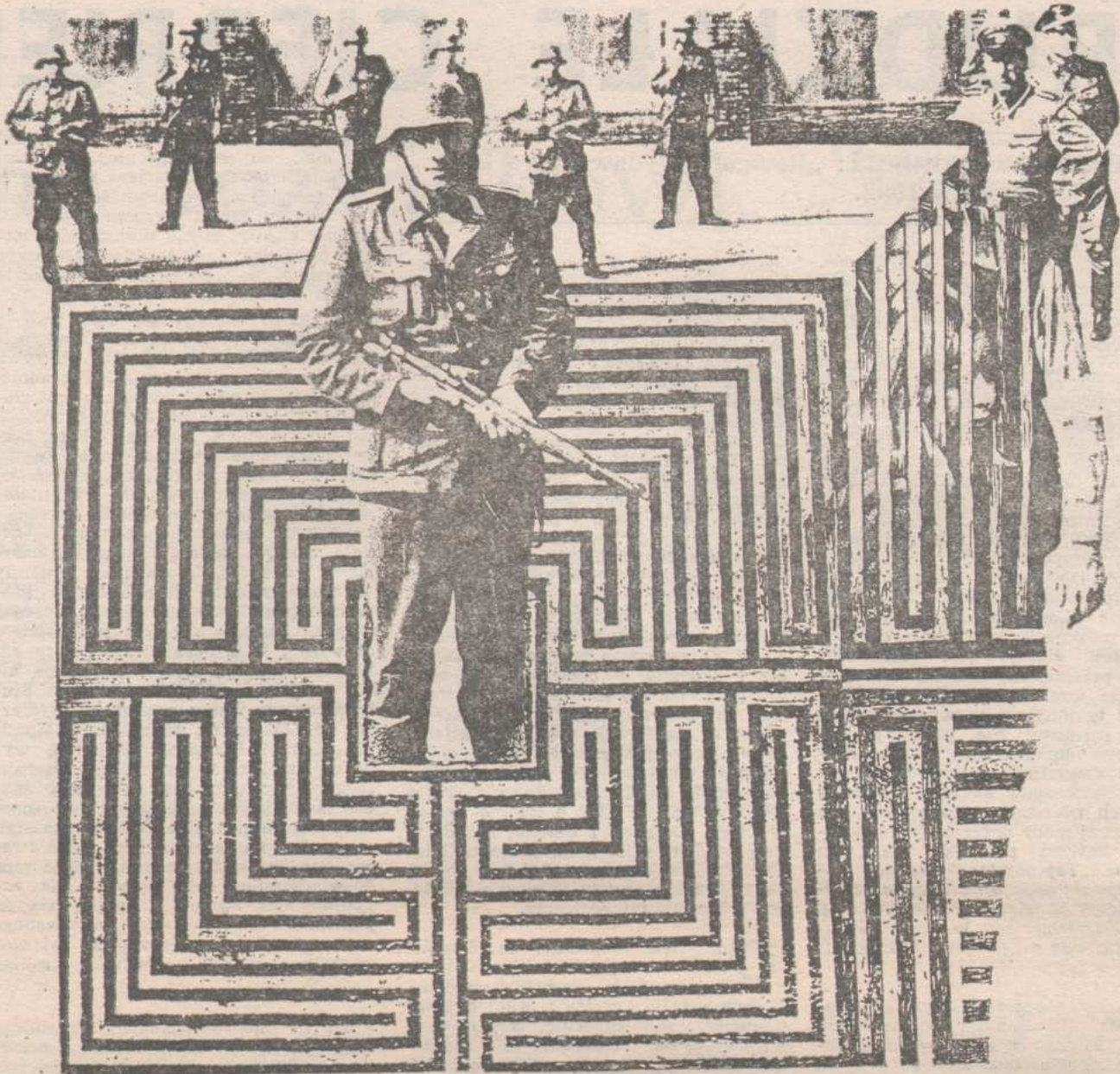
— Działać musimy w sposób dokładnie przemyślany. Sprawa najpilniejsza to rzetelna informacja. W czasie wizyty Sikorskiego wokół Polski było trochę szumu, wiele ogromnie życzliwych artykułów. Szybko jednak o tym zapomniano. Prawda jest taka, że mało kto w ogóle wie, gdzie leży ta Polska. Trzeba mówić, co dzieje się w kraju, jaki szaleje tam terror, jak różnorodna i skuteczna jest działalność Armii Krajowej. Sabotaż, dywersja, wywiad, akcje zbrojne na szeroka skalę, partyzantka. Musi trafić do każdego, że właśnie dzięki temu odciała się amerykańskich żołnierzy i przyspiesza koniec wojny. Dopiero po takim wstępie można przejść na wyższe piętra polityki.

Taką taktykę nakreślił Ciechanowski. „Witold”, pomny nauk pobieranych u Retingera, nie okazywał zniecierpliwienia. Nie przynaglał do zbyt szybkiego działania, o nic nie nagabywał, nie zadawał zbyt natręczywych pytań. Wiedział, że ambasador ani przez chwilę nie zapomina, po co on, emisariusz, znalazł się w Stanach. Wszystko, co wiązało się z jego misją, należało do spraw najpilniejszych. Bez przerwy rozdzwaniały się telefony do ważnych osóbistości, notes ambasadora wypełniały daty, nazwiska, miejsca wyznaczonych spotkań.

W tym czasie uważniej przyglądał się nie znanemu światu, o którym wiedział niewiele więcej niż to, co wyczytał w książkach, publikacjach i zdolał wysłuchać od podróżników z przypadku i konieczności. Nad leniwie płynącą rzeką Potomac, stanowiącą serce miasta, dumal nad swoim losem, podobnie jak w Warszawie na wsiłanej skarpie. Piękno soczystej zieleni z klombami wielobarwnych kwiatów, ciągnącej się szerokim pasem od obelisku Waszyngtona do Kapitolu, widok wielkiej wyspy pośrodku rzeki, tętniące życiem mosty zawieszane nad wodą, łagodzący nostalgii, dawały odpoczynek oczom, uciszały skołotane nerwy.

Siedzący na kamiennym postumencie Lincoln patrzył przed siebie. Wielki Amerykanin zdawał się wracać wspomnieniami do lat krwawych i chwalebnych, z których w takich bólach rodziła się potęga kraju. Co powiedziałby ten bohater o równość wszystkich ludzi na świat krematoryjnych pieców i totalnej wojny? Jaki znalazłby sposób na szybkie zwycięstwo?

Poprzez Massachusetts Avenue dochodził do ogromnego Rock Creek Parku, pełnego płaczących dzieci, rozgadanych czarnych opiekunek, świergotu ptaków i różnorodnych odgłosów zwierząt z klatek ogrodu zoologicznego. Nie tutaj nie przypominało warszawskich Łazienek, a jednak tam wła-



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

śnie przenosił się myślami, chodząc po ocienionych alejach. A potem z uchem wsluchanym w rozmowy tubylców zasiadał przy barowych kontuarach nad szklaneczką whisky z grzechoczącymi miło kosteczkami lodu.

Pewnego pogodnego popołudnia zawędrował na dłuższą do Georgetown, starej, ekskluzywnej części miasta, gdzie w stylizowanej knajpie, jakby żywym przeniesionej z czasów wojny secesyjnej, przyglądał się hałaśliwej zabawie urlopowanych z frontu żołnierzy. Robili wszystko, aby jak najszybciej zalać robaka i choćby na krótko zapomnieć o całym świecie. Pod tym względem niewiele się chyba od czasów generała Granta zmieniło.

Zachodził też parokrotnie na cmentarz wojskowy Arlington. Tam wśród wielu setek równym rzędem stojących białych, cmentarnych prostokątów dostrzekał się i swojsko brzmiający nazwisk. A nad Grobem Nieznanego Żołnierza, kryjącego szczątki poległych w pierwszej wojnie, znowu powracał nad daleką Wisłę. Ile nazw pól bitewnych, ile symbolicznych prochów przybędzie po latach na bliskim sercu Grobie przy placu Piłsudskiego?

Coraz częściej ciągnęło go jednak w pobliże ogrodów Białego Domu. Z odległej fontanny lekki wiatr przywiewał niekiedy chłodzące krople. Wyobrażał sobie, że to już ten dzień, który będzie ukoronowaniem jego misji. Stanie za chwilę na schodach, zaraz pojawi się ktoś z prezydenckiej świty i zawezwie go przed oblicze przywódcy wielkiej Ameryki, a on wreszcie wyrzuci z siebie gniojący ciężar krzywd i nadziei. Miał ten obraz przed oczami wyraźnie, ostro, każdy gest, każde słowo rysowało się w najdrobniejszych szczegółach.

Wracał do swojego pokoju w ambasadzie i oddawał się rozmaitym zajęciom: coś pisał, jeszcze więcej czytał, a wszystko po to, aby szybciej mijał czas. Wieczory spędzał niemal zawsze z Ciechanowskim, który traktował go jak syna. Może i dlatego, że własnego stracił na wojnie. Dowiedział się o tym, przyrzekając dyskrecję, od attaché wojskowego, pułkownika Onacewicz; ambasador nie wspominał o tym nigdy.

Któregoś dnia usłyszał wreszcie zapowiedź, na którą tak niecierpliwie czekał:

— Zaczynamy, Jasiu. Jutro rano pierwsza wizyta, a po obiedzie dalsze. Wszystko dostojnicy kościelni najwyż-

szej rangi: jeden kardynał, delegat apostolski monsignore Giovanni Cicognani i trzech bardzo wpływowi biskupi: Spellman, Strich i Mooney.

„Witold” był trochę zaskoczony, że na pierwszy ogień wypadły osoby duchowne, ale tak widać być musiało. Rozkład przyjęć nie zależał przecież od ambasadora; wszyscy, z którymi organizował spotkania, mieli czas szczerze wypełniony.

Szybko przystąpił do uzupełnienia tylekroć już wygłaszanego tekstu o parę dodatkowych informacji o życiu religijnym w okupowanym kraju. A więc przede wszystkim katolicka organizacja „Front Odrodzenia Polski”, której był aktywnym członkiem i najlepiej wiedział, ile robiła dobrego: pomoc dla ukrywających się ludzi, dziesiątki wydawnictw, popularyzujących nie tylko myśl chrześcijańską, lecz również informujących, co dzieje się w świecie. Tematu postanowił nie rozwijać: kilkanaście zwiezłych zdań, aby nie przesłonić innych spraw, pilniejszych i bardziej na czasie.

Kiedy jednak stanął przed dostojnym purpuratem i zgodnie z etykietą uklęknął i ucałował pierścień, zaczął, nieczekiwanie dla samego siebie, od spraw związanych właśnie z wiarą. Mówił o przywiązaniu Polaków do Kościoła, o przepelnionych świątyniach, nawiedzanych przez wiernych, którzy ryzykują, że staną się ofiarami stałe organizowanych przez Niemców łapanek, o klasztorach, gdzie znajdują schronienie żydowskie dzieci.

Widząc zainteresowanie i wyraźną życzliwość kardynała, chciał ciągnąć ten wątek dalej, gdy nagle padło pytanie, którego najmniej się spodziewał.

— Co społeczeństwo sądzi o prymasie Hlondzie? Jak przyjmowany jest fakt jego nieobecności w kraju i pobytu w Watykanie?

Przez moment „Witold” zastanawiał się, co odpowiedzieć; nie było jednak powodu, aby cokolwiek ukrywać czy zniekształcać prawdę.

— Są różne opinie. Jedni uważają, że miejsce prymasa jest w kraju, inni rozumieją, że w Watykanie prymas lepiej może bronić spraw polskich.

— I ja tak myślę, mój synu. Bóg na pewno nie opuści tak dzielnego narodu. Wiem, jak bohatersko walczyacie, ile nieszczęść spadło na Polskę, ale wolność już blisko. Trzeba jeszcze trochę wytrwać.

— Apelujemy do światowej opinii, wasza eminencjo. Wierzmy, że nasi potężni sojusznicy znajdą wreszcie sposób, aby zatrzymać niemiecki terror. — I od razu, nie tracąc ani chwili, zaczął wygłaszać swój raport. Wszystko po kolei, tak jak ustalił z Retingerem. Wierzył, że, być może, za pośrednictwem kardynała trafi to raz jeszcze do głowy Kościoła. Może wreszcie z jakimś skutkiem.

Kiedy skończył, pytająco spojrzął na dostojnego słuchacza. Miał pochyloną głowę i przymknięte oczy. Trudno było odgadnąć, jak głęboko przejął się tym, co usłyszał. Trwało jeszcze trochę, zanim zaczął zadawać pytania. Było ich sporo, ale niemal wszystkie dotyczyły problemów religii i społecznych nastrojów; żadnych obietnic pomocy czy jakichkolwiek interwencji i żadnego zainteresowania losem ginących Żydów.

Żegnany go błogosławieństwem i raz jeszcze słowa otuchy.

A po południu wszystko odbyło się dokładnie tak samo: wielka życzliwość każdego z biskupów i łatwo wyczuwalny brak nadziei, że coś z tego wyniknie. Zmienił się tylko układ pytań — treść ich była niemal identyczna.

— Rozchmurz się. Niczego więcej nie należało oczekiwać — pocieszał Ciechanowski. — To ludzie Kościoła, a nie politycy. Ważne, aby usłyszeli, co miałeś do powiedzenia, aby z pierwszych ust dotarła do nich prawda o polskim losie — przekartkował swój notes, coś w nim podkreślił, chwilę medytował. — Ten tydzień, drogi Jasiu, masz wypełniony po brzegi. Jutro sekretarz stanu Cordell Hull i generałny sekretarz Francis Biddle, a pojutrze sekretarz wojny Henry L. Stimson. Wszystko postacie pierwszoplanowe. Od ich opinii zależy bardzo wiele.

(Fragmety przygotowywane do druku książki, która ukaże się jesienią br.).

ZRUDZIAŁE CIERPIENIE

ZBIGNIEW HERBERT: „Rovigo”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992.

Gorzkie podsumowanie drogi życiowej. Obcowanie ze śmiercią. Przekonanie, że wobec Obłoków wszystko jest marnością, a człowieka określa tylko samotność i cierpienie. W wierszach Herberta nie ma już wiary. Jest zmęczenie i dojrzenie do chwili ostatecznej. Jakże to bliskie poezji Różewicza z tomu *Płaskorzeźba*. Z tym, że u Różewicza „poezja gnieździ się w milczeniu”, już nie potrafi się urodzić. Herberta też ogarnia zwątpienie, ale potrafi jeszcze pisać o „wstydzie”. Łączy ich obu potrzeba rozmawiania z cieniami, przywoływanie mistrzów i przyjaciół. Dla autora *Rovigo* to nie tylko wspomnienie czasów „które były opowieścią idioty”, ale także wyciągnięcie wniosków z trwania w ciągłym przerażeniu. *Rovigo* jest rozrachunkiem z przeszłością. Bardzo ważnym, ale nie ze względów poetyckich. Herbert jest tu inny niż zazwyczaj; maski opadły, rozmowy nie posiadają już teatralnego napięcia, gest kreacyjny — zawsze tak wystudiowany — został zastąpiony bezbronną emocją. Ironia w niektórych wierszach jeszcze gości, ale nie ma swej mocy oczyszczającej: przypomina kaśliwą polemikę, stara się ośmieszyć. „Tej garstce która nas słucha należy się piękno / ale także prawda” czytamy w wierszu *Widokówka od Adama Zagajewskiego*. W *Rovigo* obcuje z prawdą o „splątanych drogach” poety.

Życie jest morderezą wyprawą pozornie bez celu. Bohater *Obłoków nad Ferrarą*, jednego z kluczowych utworów, nie mógł niczego wybrać w życiu według własnej woli, wiedzy i dobrych intencji. Czy dlatego, że żył w czasach

„pełnych hałasu i zbrodni”? Czy dlatego, że nikt nie jest w stanie dokonać właściwego wyboru bez względu na czas i miejsce? Jedno jest pewne: nie było mu dane wybrać „systemu który wyjaśnia wszystko”. Stąd decyzja heroiczna: zamiast przytułku w historii wybrać „liczne miejsca postojów”. Wieczną podróż ku nieznanym wybrzeżom, przenosiny z miejsca na miejsce. Tę podróż Herbert porównuje do przesuwających się wolno obłoków. „Suną wolno / lecz pewnie”. Los rozstrzyga się w biegu i poszukiwaniach. To nie „gwiazdy” wskazują drogę. Ich nieruchomość i zdradliwe pulsujące światło układają się w system. Gwiazda zatrzymuje i oślepia, obłoki nawołują do drogi. Wskazany jest brak pospiechu (czytamy o tym i w wierszu *Książka*), zwłaszcza w sprawach ducha, ale i pewność w docieraniu do celu. Cel przybliża się lub ucieka jak osobliwe miejsce w geografii wewnętrznej poety, stacja *Rovigo*. Zwykle miasteczko — „arcydzieło przeciętności” — widziane z okna pociągu. *Rovigo* „zredukowane do stacji przecinka do przekreślonej litery”. Myśleć o *Rovigo* to być w biegu. Oglądać z daleka, nie dotykać, wiedzieć o istnieniu Miejsca. Oglądać *Rovigo* jak spoglądać na obłoki. Przybiera kształty w zależności od tego, gdzie akurat jesteśmy.

Odnosiłem wrażenie, że dawniej Herbert wiedział, która strona świata jest lepsza, ważniejsza. W wierszu *Do Czesława Miłosza* autor niedwuznacznie sugeruje, że obie części świata są jednakowe. Ale dlaczego? Myśli tej, niestety, nie rozwinię. Pointą jest obraz poety, pochylonego nad kartką papieru, wsluchanego w

głos śpiewających aniołów. Niebo jest pośrodku, na samej granicy, dzielącej świat. Ich obecność zaciera różnice. A więc niewiedza i niepewność. Dionizos nie wie, ku jakim wyspom wędruje i my nie wiemy, dokąd płynie „łódź lotna”. Bezradny jest Achilles zabijający Pentesileę, w jego płaczu „powracała skarga i kadencja skruchy”.

Pojawia się strach przed niewypelnieniem pustki. Pan Cogito odkrywa „miesiące / nie zapisane / żadną notatką”. Ta cisza minionego czasu jest złowroźna. Nie ma już mowy o zmaganiu się z historią. Dawniej sztuka, także praca intelektualna pana Cogito, starała się oswoić historię, nadać jej ludzki sens, sztuka starała się „uszlachetnić / podnieść na wyższy poziom / wypiewać odtąd / zagadać / zleciała materię ludzką / zrudziałe cierpienie”. Ale coś się zmieniło. Zmieniły się czasy, zmieniła się publiczność, która bije brawo, ciesząc się już z czegoś innego. Historia nie jest już baletem obrazów i w wyobraźni nie tańczy kat z ofiarą. Sztuka ożywia cierpienie historii, pozbawionej złoconych ram. Stały repertuar teatru przeszłości wyczerpał się. Cóż można uszlachetnić? Upadki? Klęski? Przeszłość staje się wybiakłą kartką, a wyobraźnia choruje. Rozmowy z umarłymi zastępują analizę historii. Poeta deklaruje swą wierność zmarłym i tym, którzy pozostali w pamięci na zawsze, choć „mają twarze bez imienia”. Herbert nadał sens doświadczeniu. Jeśli mówi: „nie zapomnę was nigdy”, odwołuje się do jednostkowego przeżycia, do własnego cierpienia. Czyżby nie wierzył już uniwersalnej prawdzie, suchemu traktatowi moralisty?

Sztuka nie uszlachetni zrudziałego cierpienia, jeśli nie zetknie się z prawdą pojedynczego człowieka. Ważniejsza stają się te obrazy z przeszłości, które nie poddały się racjonalizowaniu: mia-

stecko *Rovigo*, nigdy nie dotknięte stopą poety, ale uporczywie powracające w myślach; piękne kobiety, „nagle dojrane w tłumie” gdzieś w odległej przeszłości, których nigdy się nie zapomni. Świat przeczuty, ale nie poznany. Gdy idea wciela się w zbrodnię, a na wolność wychodzą potwory, rozpięcie między przeszłością a chwilą obecną staje się moralnie podejrzane. A jeśli nie podejrzane, to komplikujące życie. Spacer przez historię trwa i trwa, ale gdy „na scenę / wchodzi / prawdziwy / potwór”, Idylla zamienia się w jatkę. Taką jatką może być szederstwo. Bożek Ironii zabiera głos, aby wywrócić na nice współczesny stosunek do historii. Wystarczy przeczytać *Mitteleuropę*, okrutny żart Herberta, ośmieszający zwolenników restauracji dawnego porządku, czy *Chodasiewicza*, krzywe zwierciadło — mówiąc ogólnie — życia „bez sankcji obowiązków”.

Poeta nie jest już panem przeszłości. Zmarli przodkowie „pracują w nim jak w cieście”. Dawniej był strażnikiem „tych co śpią” (pisze o tym Herbert w dawnym wierszu *Pacyfik III*, dołączonym do *Rovigo*), teraz ci, co śpią, są jego strażnikami. Odgania i przywołuje duchy, przegląda — jak pan Cogito — stare kalendarzyki. Ale przeszłość nie daje już żadnego znaku. Poeta jest grzypiórkciem (zob. *Wilki*), który niegodzien jest żałować śmierci tych, co „tak się starali losom sprostać”. Może pisać xenie i elegie ku chwale bliskich „odeszłych”, bo pokora wymierza sprawiedliwość.

Julian Kornhauser

MOWA ZE ŚWIATŁA

BOGUSŁAWA LATAWIEC: „Powidok”, Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992.

Rzadko się zdarza tak przekonująca kompozycja, jaką jest okładka najnowszego — piątego już — tomu Bogusławy Latawiec. Autorka tej kompozycji, Joanna Morawska, wykorzystała w niej obraz René Magritte'a *Le Faux Miroir* przedstawiający otwarte oko, którego źrenica zawieszona jest w przestrzeni wypełnionej płynącymi obłokami nieba. Komponuje się ten obraz nie tylko z tytułem tomu — *Powidok* — lecz także z dwoma słowami-kluczami tego zbioru, którymi są „światło” i „wiatr”. Tom mogłoby z powodzeniem otwierać pytanie stanowiące pointę wiersza *Mowa czarnoskrzydła*:

Z czyjego oka to pismo życia
z czyjego światła mowa czarnoskrzydła
iskra krwi
która gasnąc rodzi?

Dawno już nie czytałem tak zwartego tomu, dawno nie miałem do czynienia z wyobraźnią tak spójnie uformowaną i jednocześnie otwartą. Świat jako powidok, przestrzeń życia utkana ze światła i wiatru, delikatna i ulotna, zjawiskowa, lecz przecież dojmująco konkretna i realna. Zarazem jest to świat zakorzeniony w innym świetle, trwałym i nieusuwalnym, w świetle konieczności praw oraz wartości nadających sens temu, co nietrwale i prze-

mijające. To światło rozpoznawalne „w białej dłoni kościota”. I właśnie to światło pojawia się w wierszu otwierającym zbiorek Latawiec. Tu

dwa ćwiczzone witraże
podają sobie
z prawa na lewo
z lewa na prawo
półżywą pszczołę

W innym wierszu (*Trzy zmyślone*) odnajdziemy „grudy miodu sypiące pszczołami w środku zimy”. W *Dwóch ogrodach* dowiemy się, że „światło siedło na pszczołach jak na piąstrze miodu; / brzęczy”. I oto odnajdujemy się chyba w przestrzeni już skądś znanej. Rozpoznajemy pszczołę: to platoński poeta tańczący swe piękne szaleństwo uwolnione od rygorów logiki realności, które zrywa z poczuciem rzeczywistości. Światło przefiltrowane przez obrazy „ćwiczonych witraży” — „ćwiczonych”, jak rozumiem, w regułach ponaddorażnego ładu, w zasadach rzemiosła, które wykracza poza czasowość — oświeca poetę światłem z „lewa” i „prawa” czyniąc z niego, półżywego w zderzeniu z czasową realnością, świadka swej epoki. Świadka, którego głos, stłumiony w zgłębku historii, ledwie jest słyszalny, choć jest echem boskiego głosu.

Jest to zarazem głos ocalający to, co istotne, odrzucający doraźne i przypadkowe, jak owe pojawiające się i znikające slogany z wiersza *Czyżby unieść się miały...*, gdzie:

kolejne hasła
gnają swoje litery przez wiatr

Owo przeciwstawienie głosu historii i głosu poezji bodaj najdobitniej widoczne jest w wierszu *Przyjaciółom estońskim*, w którym opisana zostaje sytuacja skazanych na milczenie pisarzy, których głosy przechowywane są w niedostępnych dla łotu historii zakamarkach bibliotek:

Wasze biblioteki w dębowych sejfach
na samym dnie pionicy
Czekają rękopisy oprawione w skórę
i głosy zwinięte w woskowe rulony
na wieczne odtwarzanie

Czekanie bywa losem poety. To czekanie na możliwość zabrania głosu w przestrzeni, w której dominuje nie „chrzęst i krzyk” historii, lecz skrzyp gwiazd na niebie w „czasie trzecim”, w czasie poza czasem:

Niebo skrzypi nad nami wszystkimi
swoimi gwiazdami
i nie już nie można zmienić
ani zbiec, ani przedrzeć się w inną skórę
(Trzy czasy)

Poeta wkraczający w „lata dziewięćdziesiąte” zdaje sobie sprawę z dramatu swej sytuacji:

Pomiędzy dłońmi wiatrów przemykamy
się
między Europą a Polską (...)
Przez nasze pióra, rękopisy
tworze nasze w zbliżeniach
proszy gruboziarnista cisza
i sypią białe wiatry
(Lata dziewięćdziesiąte)

Te „dłonie wiatrów” w wersie otwierającym utwór odsyłają do tego, co doraźne i przemijające. „Białe wiatry” ostatniego wersu budują przestrzeń tego, co ponadczasowe i trwałe. Zderzenie tych dwóch prze-

strzeni — historycznego zniwolenia i wbiłości wobec historii — tworzy podstawowy konflikt tego tomu, wyznacza też system napięć budujących estetyczną nośność poezji Latawiec. Zarazem też określa miejsce tej poezji w toczonych dziś sporach literackich, w których stosunek do historii oraz problem świadectwa literatury wobec własnego czasu stanowią problemy centralne. Nie przypadkiem też tomik zamyka rodzaj aneksu — cykl *Białe-czerwony szlaban*, na który składają się utwory z lat osiemdziesiątych, okresu, w którym ciśnienie doraźności rozsadzało struktury poetyckie. Niemal wszystkie pomieszczone tu teksty — poza ostatnim, tytułowym — to zapisy prozą utrwalające historię zduszenia „nowego roju słów”, który pojawił się w roku 1980. Poezja stała się niemożliwa:

Słowa leżą jak zgaszone świece
w szarych pudłach

Zużel się tylko jarzy i żarowy
w betonowych wybiegach
gdzie co rano tłuczemy łbami
w ten sam biało-czerwony szlaban

Światło słów znów się zapala. Oświetla nowe przestrzenie, otwiera nowe perspektywy. Budzi nadzieję. Głos poety wyświetla dyskretną strukturę świata, która to, co przemijające i doraźne, osadza w tym, co trwałe i ponadczasowe. Która — inaczej rzecz ujmując — odkrywa sprzeczności po to, by je pogodzić, próbując znaleźć odpowiedź na wciąż powracające, leśmianowskie w swej istocie pytanie:

Gdzie jesteś gasząc w nie-swoim
a przecież swoim światcie?

Nie dać się zdrowemu rozsądkowi

MARIA JANION: „Projekt krytyki fantazmatycznej. Szkice o egzystencjach ludzi i duchów”. PEN, Warszawa 1991.

Niezwykłość tej pięknej i mądrej książki wynika z niezwykłości postawionej w niej tezy. Nie zdarza się bowiem często, żeby dorosły człowiek przyznawał się publicznie, że z poważnym namaszczeniem traktuje nierzeczywistość: świat marzeń i przywidzeń. A prawie nigdy nie dzieje się tak w przypadku książki o charakterze naukowym. Opinia, że aparat badawczy uczonego, czyli emanujące chłodem i precyzją „mędrca szkiełko i oko” postrzega jedynie wymierne i konkretne obiekty, koncentruje się tylko na sprawdzalnych faktach i wyklucza obcowanie z nadprzyrodzonym, z rojeniami i urojeniami, wydaje się niepodważalną i bezdyskusyjną oczywistością. Ale Maria Janion, wybitna, jedna z najwybitniejszych polskich uczonych, historyków i krytyków literatury, neguje tę rzekomą oczywistość. Wyraża publicznie to, co w głębi duszy przecież każdy z nas wie i czuje; tę prawdę, że świat wykreowany jedynie w naszej wyobraźni, utkany z naszych marzeń i tęsknot jest równie ważny dla naszego życia co namacalna rzeczywistość. Że — przede wszystkim — ponad wszelką wątpliwość istnieje.

Jakże często mawia się — wszystko jedno: ganiąc lub usprawiedliwiając — że ktoś postąpił nieracjonalnie, że dał się powodować emocjami, że żyje mrzonkami. Przyznajemy więc powszechnie, choć mniej lub bardziej świadomie, rację bytu owym nierealnym, ni-namacalnym i **naukowo niesprawdzalnym** czynnikom determinującym nasze postępowanie. Oficjalnie jednak nie zwykło się stawiać znaku równości między jawą i snem. Cytowane na wstępie, a pochodzące ze znanej Mickiewiczowskiej ballady określenie „mędrca szkiełko i oko” nie bez przyczyny figuruje w opozycji do „czucia i wiary”. Mijają lata, zmieniają się mody i epoki, a opinia ta tylko się jeszcze ugruntowuje. Zwłaszcza na forum

naukowym bywamy z reguły wobec świata marzeń ślepi.

Maria Janion zafascynowana literaturą romantyczną jej właśnie przede wszystkim poświęciła swój talent i wiedzę. Ale też wzięła sobie głęboko do serca nie tylko piękno i kunszt utworów polskich wieszczów romantycznych, ale również nauki z tych utworów płynące. Epitet o bezdusznym i niewidzącym „szkiełku i oku” jej nie dotyczy.

Oryginalność pracy naukowo-badawczej Marii Janion polega więc na odwadze i upartej konsekwencji, z jaką uczona postrzega i ocenia świat i opisywaną literaturę. Oryginalność Marii Janion to owa bezpretensjonalna oczywistość, z jaką ta autorka znakomitych dysertacji naukowych i frapujących pozycji popularnonaukowych traktuje świat utwory i marzeń. Jej książki służą uprawomocnieniu rzeczywistości fantastycznej.

Autorka dowodzi bowiem: jeśli nie kwestionujemy wpływu złudzenia, zmyślenia i marzenia na nasze czyny i reakcje, to nie powinniśmy lekceważyć ich wpływu na dzieje narodowe, będące wszak wypadkową dzieł indywidualnych. Druga teza stawiana przez Marię Janion we wszystkich bez mała jej książkach brzmi: nauczymy się cenić wpływ literatury na sposób widzenia świata nie tylko indywidualnego czytelnika, ale także całych społeczeństw. Innymi słowy, nie zaprzeczamy oczywistości, że literatura, będąca wszak kwintesencją zmyślenia, że owe światy tworzone przez pisarzy i poetów, światy zrodzone z ich fantazji — wpływają na myśli i uczucia jednostek i kreują w efekcie światopogląd społeczny.

Marzenie to z reguły idealizacja rzeczywistości. Stąd łatwo wysnuć teorię o popularności marzeń, w których my i nasze otoczenie możemy zrehabilitować porażki i rozczarowania przeżywane na jawie. Marzenie więc to — jak chce Janion przypominając wiersz Słowackiego — przeistoczenie „zjadaczy chleba w aniołów” to „przeanielenie”. Tu znajduje zresztą genezę tradycyjnego stereotypu Polaka — idealisty i niepokalanego bojownika o wol-

ność i demokrację, stereotypu stworzonego z tęsknot i marzeń, uprawomocnionego literaturą.

Ale marzenie to także męczący, okrutny upiór. To szatańskie dziecko naszych lęków, niepewności i rozpacz. To wskrzeszana wciąż na nowo w półsennych rojeniach, spychana w podświadomość męka egzystencjalnych wątpliwości, smutek przemijania, poczucie bezsilności, strach przed nicością.

Naukowy rodowód Marii Janion i jej fascynacja literaturą polskiego romantyzmu determinuje do pewnego stopnia, jeśli nie poglądy, to w każdym razie metodę systemowego porządkowania. Punktem wyjścia jej teorii a potem także punktem odniesienia jest z reguły twórczość naszych wieszczów. Łatwo wyczytać to z jej ostatnich, znakomitych zresztą prac *Wobec zła i Życie pośmiertne Konrada Wallenroda*. Nie inaczej jest w omawianej książce. Oto na przykład wyłożona we wstępie do *Projektu krytyki fantazmatycznej* typologia trzech możliwych postaw człowieka marzącego wobec rzeczywistości wywodzi się z czasów romantycznych i choć właściwie nie utraciła swej trafności, wymaga, moim zdaniem, uaktualnienia i uniwersalizacji. Zwłaszcza że uważa lektura literatury światowej (a więc wcale niekoniecznie polskiej i wcale niekoniecznie romantycznej) przekonuje, jak dalece tezy Marii Janion są prawdziwe i że dzieła klasyki literackiej (nie mówiąc już o realnym życiu...) pełne są przykładów owe tezy potwierdzających.

Oto na przykład na międzynarodowym sympozjum literackim, które niedawno odbyło się w Monachium, Mario Vargas Llosa mówił o „prawdzie kłamstwa”, czyli o mechanizmie, który powoduje, że fikcja literacka, niewierna faktom i historii zwykle więcej mówi o rzeczywistości niż najwierniej zrelacjonowana autentyczna anegdota. *Rzeczywistość nie jest taka jaką ją widzimy, tylko taka jaką ją wspominamy*. Myślę, że wypowiedź Llosy bardzo by się Marii Janion spodobała. Spodoba się jej pewnie także najnowszy film Woody'ego Allena *Cień i mgła*, którego bohater, przypominający trochę Józefa K. z *Procesu* Franza Kafki, a trochę też tytułową postać z *Urodzin Stanleya* Harolda Pintera, wyrwany zostaje ze snu i wplątany w akcję, której tok przypomina błędzenie po sennych bezdrożach beznadziejnie splątanych przypadków skojarzeń i dręczącymi nawrotami upiornych przypominień i lęków. Uciekający od zbawienia, ale i zarazem zgnębionego przebudzenia, bohater filmu chroni się w namiocie cyrkowego kuglarza, który oznajmiając „nie moglibyśmy żyć bez iluzji, bez wy-

tworów naszej fantazji, bo sami jesteśmy przecież jej wytworem...” znikną, dematerializuje się wraz ze swoim nowym podopiecznym.

Wracając teraz do typologii Marii Janion z „Projektu krytyki fantazmatycznej”: trzy postawy wobec świata snuty marzeń charakteryzują się krótko trzema hasłami: ucieczka, walka i ironia. Pierwsza z nich, zwana też przez autorkę postawą ewazyjną, wyodrębnia tych, którzy przedkładają przebywanie w świecie marzeń nad aktywność w rzeczywistości. Druga grupa marzycieli, nazywana przez Janion tyrtejską to ci, którzy wprowadzają równie boleśnie jak ci pierwsi odczuwają rozdźwięk między rzeczywistością wymarzoną a realną, ale świadomość owego kontrastu prowokuje ich do walki mającej wcielić ideał w życie. Typ trzeci to ironiści żyjący w przekonaniu, że istota świata jest nieuchronnie i nieodwracalnie dwoista, że granica między światami marzeń i faktów jest wprawdzie przekraczalna, ale niemożliwa do zniwelowania, że ekwilibrystyka na tej granicy, na którą jesteśmy skazani, zmusza do sceptycyzmu i autoironii.

Rozważania Marii Janion rozpisane na konkretne przykłady, czyli utwory literackie potwierdzają, że typologia owa daje się idealnie dopasować do tradycji romantycznej, zwłaszcza polskiej, ale że wraz ze zmianą epoki i odniesień narodo-historycznych wymaga korekt i uzupełnień. Bardziej uniwersalne byłoby może wyznaczenie biegunowej pary postaw dookreślonych hasłami: marzenia zastępcze i marzenia konstruktywne? Z drugiej jednak strony zamieszczone w książce Janion szkice o literaturze europejskiej pozwalają w sposób niezwykle oryginalny, bo przez porównanie fantazji i tęsknot poszczególnych narodów ujrzeć różnice w ich historii i tradycji kulturowej. Różnice te nie pozostają z kolei bez wpływu na obraz marzeń i tęsknot społecznych, wiążąc się oczywiście w każdym przypadku w spłót wzajemnych zależności. Spłót tak gęsty, że uniemożliwiający w rezultacie odpowiedź na pytanie, co jest przyczyną a co skutkiem: czy to zmyślenie literackie kreuje osobowość społeczeństwa, czy też fantazja pisarza ukształtowana zostaje przez charakter społeczno-narodowy.

Maria Janion nazwała ostrożnie swoją książkę „projektem”. Myślę, że ostrożność tę podyktowała jej nie obawa o skuteczność proponowanej metody analitycznej, bo sposób, w jaki uczona czyta literaturę jest niezwykle celny, a analiza uderzająco skuteczna. Zawarte w książce eseje stanowią jednak zbiór niepełny, wręcz sprawiający wrażenie wyrwykowego. Ale wyrwykowość prowokuje do dalszych, samodzielnych poszukiwań, porównań i dociekań. I pewnie o to właśnie autorce chodziło.

Dorota Krzywicka

Książki nadesłane:

DOM WYDAWNICZY „REBIS”

ANTHONY DE MELLO: „PRZEBUDZENIE”, Poznań 1992.

Przebudzenie jest zbiorem rekolekcji wygłoszonych przez autora, których nie zdążył już zredagować. Autor w niezwykły sposób polemizuje z potocznymi wyobrażeniami religijności.

LAWRENCE LESHAN: „ŚWIAT JASNOWIDZACYCH”, Poznań 1992.

Książka ta jest historią pewnej przygody, poszukiwania sensu zdarzeń niemożliwych, rzetelnym naukowym studium zjawisk paranormalnych.

J. W. BRODIE-INNES: „KOCHANICA SZATANA”, Poznań 1992.

Opowieść o czarownicach w przekładzie Bożeny Bańskiej.

ELIZABETH GAGE: „FATUM”, przeł. Piotr Kowalski, Poznań 1992.

Historia zbrodni dokonanej z zimną krwią i gorącej namiętności, fascynująca opowieść o wielkich ambicjach i straszliwej zemście.

OSSOLINEUM

WACŁAW BERENT: „ZYWE KAMIENIE”, Kraków 1992.

Wybitna powieść autora *Próżna* w opracowaniu Magdaleny Popiel. Seria Biblioteki Narodowej.

HOMER: „ODYSEJA”, Kraków 1992.

Wydanie dziesiąte (pierwsze zupełnie nowe) w przekładzie Lucjana Siemieńskiego. Seria Biblioteki Narodowej.

ZOFIA KOZARYNOWA: „GAWĘDA O KULTURZE ŚDOROWISKA”, 1992.

Wspomnienia nestorki polskich pisarzy emigracyjnych.

MARTIN KITCHEN: „HISTORIA EUROPY 1919—1939”, przeł. Tadeusz Rybowski, Wrocław 1992.

Książka kanadyjskiego historyka, profesora Simon Fraser University, jest zwięzłym, popularnym, ale gruntownym zarysem dzieł politycznych Europy w okresie międzywojennym.

JERZY STARNAWSKI: „PRACA WYDAWCY NAUKOWEGO”, Wrocław 1992.

Zwięzły zarys teorii literackiej edy-

torstwa naukowego oraz ciekawy zbiór licznych przykładów, jak edytorsko rozwiązywano różnorakie problemy tekstowe nasuwające się przy naukowym wydawaniu klasycznych dzieł literatury polskiej.

ZBYSŁAW POPLAWSKI: „DZIEJE POLITECHNIKI LWOWSKIEJ 1844—1945”, Wrocław 1992.

Publikacja ta niewątpliwie stanie się niezbędna dla historyków nauki i kultury polskiej, historyografów, a szczególnie cenna dla absolwentów tej placówki. Podobnego opracowania nie posiada dotąd żadna lwowska uczelnia.

TADEUSZ DOBROWOLSKI: „POLNISCHE MALEREI”, Wrocław 1992.

Album malarstwa polskiego z lat 1764—1970.

TADEUSZ DRANKOWSKI, OLGIERD CZERNER: „WROCLAW Z LOTU PTAKA”, Wrocław 1992.

Wydanie trzecie (zmienione) cenniejszej pozycji albumowej.

POEZJA

JAN CURYLO: „TARNOWSKIE WIDOKOWKI”, Tarnów 1991.

Dwa najnowsze zbiorki wierszy tarnowskiego poety.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA: „NAD CZASEM POCHYLONA”, Warszawa 1992.

Wybór oryginalnych zapisków, notatek, próz poetyckich z lat 1942—1992, drukowanych w Polsce i na emigracji.

JERZY ARKADIUSZ BIELECKI: „LEPSZE NIEBO”, Oficyna Wydawnicza „Forum”, Warszawa 1990.

Drugi po arkuszu poetyckim pt. *Kolebka* zbiorek wierszy autora ze Szczecina.

ADAM BEDNARCZYK: „TAKA CI SZA W OGRODZIE...” — ILZECKIE MIŁOŚCI LEŚMIANA, Towarzystwo „Ogród Książki”, Warszawa 1992.

Gawęda o ilzeckich miłościach, wierszach Bolesława Leśmiana.

Powrót Józefa Czapskiego

Anna Baranowa



Jest to znak otwarcia. Retrospektywa malarstwa Józefa Czapskiego ze zbiorów szwajcarskich — goszcząca w Polsce od marca do sierpnia — posiada rangę nie tylko wydarzenia artystycznego, lecz w pełni symbolicznego. Możliwość zobaczenia przez szerszą publiczność niemal 200 obrazów z dorobku 96-letniego artysty oznacza powrót „Wielkiego Nieobecnego”. Osiały po exodusie wojennym w Paryżu nie miał wstępu do swego rodzinnego kraju. Malarz i pisarz o wielkim wyczuleniu etycznym, zaangażowany na emigracji bez reszty w ocalenie niezależnej polskiej kultury — był zapisem cenzury skazany na nieistnienie. Komunistyczny reżim uznał go za wroga publicznego numer 1.

Czapski był w Polsce obecny jako mit. O jego malarstwie, które odczuwał jako swoje główne powołanie, można było dowiedzieć się więcej z jego książek — przemycanych z Paryża, drukowanych w „drugim obiegu” — niż z nielicznych wystaw (pierwsza po wojnie w 1957, następna dopiero w 1986) i paru obrazów przechowywanych w zbiorach państwowych. Dlatego też powrót malarstwa Józefa Czapskiego do Polski AD 1992 został pomyślany jako ewenement o charakterze międzynarodowym. W Komitecie honorowym wystawy zorganizowanej pod najwyższym patronatem władz Polski i Szwajcarii znaleźli się jego najwybitniejsi przyjaciele — wśród nich CZESŁAW MIŁOSZ, ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI, JERZY GIEDROYĆ, VLADIMIR DIMITRIJEVIĆ, RICHARD AESCHLI-MANN i JEANNE HERSCH. Ta ostatnia właśnie, znakomita uczennica Jaspersa, przyjechała na krakowski wernisaż, by być obecną w imieniu artysty, który z powodu wieku nie opuszcza już swojej siedziby w podparyskim

Maisons-Laffitte. Filozof z Genewy, która obdarzyła swoją przyjaźnią w najtrudniejszych latach wygnania nie tylko Czapskiego, ale również Stanisława Vincenza i Czesława Miłosza, stoi na czele szwajcarskich admiratorów talentu polskiego malarza. Jej młodzi następcy, związani zwłaszcza z Galerią Plexus w Chexbres, gdzie artysta wystawia regularnie od 1976 roku, mówią o tym, iż jego niezwykła osobowość i obrazy odmieniły ich sposób patrzenia na świat.

Józef Czapski zalicza się do tych postaci, które są „sumieniem” naszego wieku. Trudno jednocześnie o postać bardziej barwną i pozbawioną patosu pomimo przeżytych dramatycznych doświadczeń. Jest Europejczykiem *par excellence* — w złożoności i kontrastach swojego *esprit* i swojego losu. Urodzony w 1896 roku w Pradze, w rodzinie arystokratycznej spokrewnionej z najlepszymi domami Europy, utwierdza się w swojej polskości dopiero w wieku dwudziestu kilku lat — za sprawą fascynacji intelektualnej. Zakochany w kulturze rosyjskiej, w Puszkynie, Dostojewskim, Tolstoju — jest tym, który doświadcza bolszewickiego ludobójstwa, cudem unika śmierci, by następnie w poszukiwaniu więzionych razem z nim 15.000 polskich oficerów odkryć tragedię Katynia. Pacyfista z przekonań, który z powodu przypisanego swojej generacji losu walczy w trzech wojnach (dwóch światowych i sowiecko-polskiej w 1920 roku). Antyrewolucjonista, który w rewolucyjnej Rosji zakłada razem ze swoimi siostrami i grupką przyjaciół utopiarną komunę oddaną nowej — w duchu tołstojskim — ewangelizacji świata. Arystokrata, który zwrócony jest do najprostszego człowieka.

Z burzliwością jego losu idzie w parze intensywność przeżywania i twórczości. Można się zastanawiać nad tajemnicą jego niesłabnącej młodości, której dowód dają w pełni prezentowane obecnie w Polsce obrazy — zwłaszcza te ostatnie, malowane przez dziewięćdziesięcioletniego, śpiącego artystę. Głównym dylematem twórczym Czapskiego, malarza o wielkiej samoświadomości i głębokiej refleksji było zdobycie pewności, wierność temu pierwotnemu zachwytowi, wrażeniu, które leży u źródła każdego z jego obrazów. To wzruszenie widzialnym światem ma tyleż charakter graniczącego z iluminacją odkrycia, co bierze się z radości oczu, jest „oddychaniem oczyma”. „To co nazywam zbyt pompacyjnie *wizją*, bo nie umiem znaleźć innego słowa, to jest ten zachwyt samotny, nieoczekiwany, poczucie, że my jedni widzimy cud piękności niepowtarzalny, który w oczach innych jest albo zupełnie niezauważalny albo — no gorzej — śmieszny!” Nie jest to żaden estetyzm, jakkolwiek obrazy Czapskiego uwodzą swoją zmysłowością, magicznym przepychem i siłą barw. To malarstwo jest bardzo blisko życia właśnie poprzez to, że artysta przyjął za swoją Proustowską dewizę: *aller au fonds des sensations* (wniknąć do głębi swoich odczuć). Czapski znajduje motywy w zasięgu wzroku — na ulicy, w paryskiej kafejce, w banku, w teatrze, na stacji metra, w przedziale pociągu. Wciąż powraca do kilku ulubionych przedmiotów ze swojej pracowni, stolika o giętych nóżkach, tych samych czarek do kawy i fiakonów, by uchwycić ów nie dający się wyjaśnić w kategoriach racjonalnych proces tworzenia się i materializacji wizji — osiągnięcia zgodności pomiędzy okiem i ręką, świadomością i odczuciem. Jean-Louis Kuffer, krytyk z Lozanny, pisze, iż obrazy Czapskiego pozwalają nam odczuć, iż „prawdziwie

życie jest wszędzie tam, gdzie my jesteśmy”. Artysta potrafi całymi tygodniami studiować układ białego ręcznika przerzuconego przez blat stołu, po to, by osiągnąć ten ideał, o którym marzył jeden z jego duchowych mistrzów, starzec Hokusai — aby każda kreśka i każda kropka, którą narysował, była nasiąknięta życiem.

Czapski traktuje swoje malarstwo w kategoriach metafizycznych. Chce przebić się przez ścianę chaosu i pozorów, aby dojść do istoty rzeczy — *ens realissimum*. Ta wciąż ponawiana walka z ciężarem materii osiągnęła swoją kulminację w latach 80., kiedy to tracący z miesiąca na miesiąc wzrok artysta — osiągnął pełnię widzenia. Jego pejzaże, sceny rodzajowe a zwłaszcza martwe natury chwytały się jakby jednym globalizującym gestem. Zdumiewa szybkość i nieomyślność malarzskich decyzji, „dzikość”, której nie powstydziliby się młodzi buntownicy, a zarazem wyciszenie, skupienie tego malarstwa. Bliski artyście Henri Matisse napisał pod koniec życia: „*Idziemy ku jasności poprzez uproszczenie idealne*”. Tę idealną jasność i prostotę osiągnął wiecznie młody starzec, Józef Czapski, dzięki swojej miłości do malarstwa i wszystkiego, co stworzone.

Józef Czapski. Malarstwo ze zbiorów szwajcarskich. Muzeum Narodowe Kraków (marzec—kwiecień). Poznań (maj—czerwiec). Warszawa (lipiec—sierpień 1992). Autorzy katalogu: Jean-Louis Kuffer, Stanisław P...ski.



LIST z Wiednia

„Na domu pod nazwą Austria zawie-
silem raz na zawsze moje serce.
Wisi tam teraz.
Od czasu do czasu kapie zeń kropel-
ka krwi”.

(Rozmowy z Kristą Fleischmann)

„**A**ni z tego, co sam opublikowa-
łem za życia, ani po mojej śmierci
z mojej spuścizny, niezależnie od
tego, gdzie się ona znajduje, w czasie
obowiązywania prawa autorskiego, w
ramach granic państwa austriackiego,
niezależnie od nazwy tego państwa, nie,
w jakiegokolwiek formie sporządzone
przez mnie słowo pisane, nie może być
wystawione, drukowane lub też tylko
referowane. Z naciskiem podkreślam,
że z państwem austriackim nie chcę
mieć nic wspólnego i zastrzegam sobie
na przyszłość sprzeciw nie tylko wobec
każdej formy mieszania się, lecz rów-
nież wobec każdej próby zbliżenia się
tegoż państwa austriackiego do wszy-

lone od lat. Bernhard chciał, by jego
pogrzeb był cichy i najprostszy z mo-
żliwych, nie życzył sobie obecności osób
oficjalnych i honorów państwowych.
Chciał, by o jego śmierci dowiedziano
się dopiero w cztery dni po pogrzebie.

Chory był już od dawna, żyć mógł
tylko dzięki cortizonowi. Pod koniec
1988 zdrowie pogorszyło się gwałtownie
i już było wiadomo, że nie ma odwro-
tu. Przyrodni brat, Peter Fabjan, le-
karz internista, przywiózł go przed
Świątami Bożego Narodzenia z Hiszpa-
nii, w której łagodnym klimacie szu-
kał ratunku w owych listopadowych
dniach po premierze w Burgtheaterze
Heldenplatz (4.11.1988), swej ostatniej
sztuki napisanej przed śmiercią. Sztu-
ka ta, powstała z okazji pięćdziesięcio-
lecia Anschlussu, roku, który miał skła-

„Geniusz w życiu praktycznym jest tak
przydatny, jak teleskop w teatrze”

Swą muzykalność ocala w nowelach,
powieściach i sztukach teatralnych.
Okrążając temat, dzieli nie kończące się
zdania jak sztuki muzyczne, wieńcząc
je pointą kompozytora. Zarzucana mu
monotonia jest często figurą muzyczną,
tworzącą jedyny w swoim rodzaju, nie
przetłumaczalny w zasadzie styl Bern-
hardowski.

Książki Bernharda wywoływały zwy-
kle oskarżenia, skandale, procesy. Raz
czuł się dotknięty książd, innym razem
stary przyjaciel. Bernhard nie unikał
konfrontacji. Obrażał austriackiego i
niemieckiego prezydenta oraz innych
polityków. Oni zaś publicznie propo-
nowali mu „psychiatryzację”, banieję,
nazywali go „Holendrem” i gościem w
Austrii, domagali się przeprosin za „ka-
łanie gniazda”, w którym „tworzy, z
którego żyje i któremu powinien być
wdzięczny”.

Bernhard już od kilkunastu lat nie
przyjął żadnej austriackiej nagrody
(„Przyjął nagrodę, to jest już perwer-
sja, powiedział do mnie wówczas mój
przyjaciel Paul, przyjął nagrodę pań-
stwową, to jest już jednak największa

Próbowano naturalnie testament
kwestionować, próbowano „dzikich”
premier, ale spadkobierca i wyko-
nawca testamentu jest niezłomny. Cie-
szono się dwa lata temu, że radca do
spraw kultury miasta Wiednia, dr Ur-
sula Pastrek, przechrztyła Bernharda,
organizując z okazji corocznego święta
sztuki w Wiedniu, Wiener Festwochen,
prapremierę jego sztuki *Elizabeth II* za
miedzą, w sąsiedniej Bratysławie, o go-
dzinę jazdy autobusem; autobusy dowo-
żące na przedstawienie specjalnie zre-
szta podstawiano. Gorzka chyba satys-
fakcja. W tym roku natomiast Burg-
theater został w czerwcu zaproszony do
Essen do otwarcia Teatru Narodów
właśnie cyklem sztuk Bernharda.

W powieści *Holzjällen* (1984) Wiedeń
jest „prerażającym młynem miażdżą-
cym talenty”, w którym są „najzłośliw-
si ludzie na świecie”; na końcu jednak
to dla bohatera miasto „nienawistnie
kochane”, „najlepsze miasto”, „najlep-
szy Wiedeń”. Kochał i nienawdził, nie-
zawisły patriota okładający klątwą.
Profesorowi Schusterowi w Heldenplatz
każe mówić: „To wszystko wokół mnie
jest okropne, mimo to jednak nie

THOMAS BERNHARD

czyli wydziedziczenie ojczyzny

Anna Milanowska

stkiego, co jest związane zarówno z
moją osobą, jak i z moją pracą. Po
mojej śmierci nie wolno już upowszech-
nić żadnego słowa z mojej ewentualnej
spuścizny literackiej (pod czym należy
również rozumieć listy i papiery) bez
względu na to, gdzie się ona znajduje”.
(„Die Presse” 24/25 czerwca 1989).

Czy jest na świecie drugi pisarz, któ-
ry wydziedziczyłby swój kraj, wyzuli go
z praw do spuścizny literackiej, obłożył
klątwą na lat siedemdziesiąt? Testa-
mentowo potwierdzony bojkot Austrii
na tyle właśnie lat. Po wygaśnięciu za-
wartych już umów z wydawnictwami
i teatrami — żadnej publikacji, żadnej
nowej inscenizacji jego sztuk w kraju
ojczystym. Zakaz upowszechniania nie
publikowanych dotąd rękopisów w kra-
ju i za granicą. Ostatni cios wielkiego
pisarza.

Gdyby żył, 10. lutego 1991 roku skoń-
czyłby sześćdziesiąt lat. Zmarł dwa dni
po swoich 58. urodzinach, 12. lutego
1989 r. w Gmunden w Górnej Austrii,
przy Lerchenfelderstrasse 9.

W czwartek 16. lutego 1989 wiedeński
dziennik „Die Presse” donosił: „Według
informacji lekarza z Gmunden, dra Pe-
tera Fabjana, pisarz dramatyczny i au-
tor utworów prozą Thomas Bernhard
jest śmiertelnie chory. Bliższych da-
nych lekarz odmówił”. Radio podawało
tę informację co godzina. Bernhard nie
żył już wówczas od paru dni. Dzień
później, 17. lutego, zdezorientowane
mass media wyjaśniały: „Jak dopiero
wczoraj podano do wiadomości, w ubie-
głą niedzielę w swoim mieszkaniu w
Gmunden zmarł austriacki pisarz Tho-
mas Bernhard”.

„Wypraszał sobie na pogrzebie kwiaty
na pogrzebie żadnych kwiatów
powiedział profesor
żadnych kwiatów i żadnych ludzi
odebrał od brata przyrzeczenie
iż tylko on sam pójdzie na jego pogrzeb
nawet mojej żonie nie wolno być na
moim pogrzebie
powiedział pewnego razu
nie do zniesienia byłaby dla mnie myśl
że ci podlutnie stoją przy moim grobie”
„Mój mąż zdecydował
że wiadomość o jego śmierci może być
podana dopiero
w tydzień po pogrzebie”

Wszystko odbyło się w niesamowi-
tej scenerii jak w jego sztuce
Heldenplatz (Plac Bohaterów) i
jak było z bratem w szczegółach usta-

niać do zadumy, była krzykiem protes-
tu przeciwko społeczeństwu, które
„akurat było w trakcie poświęcania
swego braku skrupułów”.

Jeszcze wyszedł razem z Clausem
Peymannem na scenę do publiczności,
przeżył sukces sztuki, która wcześniej
trafiła na obrady parlamentu, gdyż gro-
żono jej zdjęciem nie tylko przed pre-
mierą, ale i przed jej przeczytaniem
(sic!). Chłopięcy, w swym ciemnonie-
bieskim sweterku, z kołnierzykiem polo,
lecz już cień człowieka, bo „każdy, kto
ma oczy, widział, że ten człowiek nie
ma już czym oddychać”. Thomas Bern-
hard, największy, ale i najbardziej
kontrowersyjny współczesny pisarz au-
striacki, urodził się w klasztorze koło
Heerlenu w Maastricht w Holandii ja-
ko nieślubne dziecko pomocy domo-
wej Herthy Bernhard i Aloisa Zuker-
stättera, stolarza z Henndorfu koło
Salzburga. Było nie do pomyslenia, aby
jako nieślubne dziecko przyszedł na
świat w drobnomieszczańskie Austrii,
w dodatku na wsi. Ojca, który zamiesz-
kał jeszcze przed jego urodzeniem we
Frankfurcie nad Odrą i tam założył ro-
dzinę, a w 1943 roku zmarł, nie poznał
nigdy. Głodne i trudne dzieciństwo,
głodująca, naznaczona chorobą i cią-
głym kontaktem ze śmiercią młodość
powracającą w autobiograficznych książ-
kach: *Die Ursache* (Przyczyna), *Der
Keller* (Piwnica), *Der Atem* (Oddech),
Die Kälte (Zimno); trudno znaleźć pięk-
niejszą od rozpoczynającej cykl książki
Ein Kind (Dziecko).

Wszelkoniemnie uzdolniony (prze-
de wszystkim jednak muzycznie) i
obdarzony pięknym barytonowym
głosem, marzył, by zostać wokalistą
oratoryjnym, co nie było możliwe ze
względu na trwającą całe życie choro-
bę płuc. Studiował w Mozarteum w
Salzburgu i był absolwentem Wyższej
Szkoły Muzycznej w Wiedniu. Potrafił
wiele, ale nie takiego, co zapewniłoby
mu normalną pracę, jakby w myśl
Schopenhauerowskiego twierdzenia, iż

perwersja”, „Przyjął nagrodę nie ozna-
cza nic innego, niż dać sobie nara-
bić na głowę, ponieważ jest się za to opia-
conym. (...) Tylko w skrajnej potrzebie
i przy zagrożeniu życia i egzystencji, i
tylko do czterdziestki ma się prawo
przyjąć nagrodę pieniężną lub w ogóle
nagrodę albo odznaczenie” — Wittgen-
steins Neffe); prawie wszystkie jego
książki ukazały się w Stanach Zjedno-
czonych, zostały przetłumaczone na
francuski, hiszpański, włoski, dwukrot-
nie wysuwano jego kandydaturę do Na-
grody Nobla, nie z Austrii wprawdzie,
lecz z Niemiec.

Jego sztuki teatralne trafiły na re-
prezentacyjną scenę wiedeńską, do
Burgtheatru, dzięki jednemu z najwy-
bitniejszych reżyserów niemieckich,
Clausowi Peymannowi, który ku zgro-
zie polityków austriackich rozpoczął
swą dyrekturę w wiedeńskim „Burgu”
właśnie premierą (1.9.1986) Bernhardow-
skiego *Theatermachera* we własnej in-
scenizacji, będącej powtórzeniem pra-
premiery z Salzburga z sierpnia 1985.
I tym razem, podobnie jak poprzednio
w Salzburgu, kiedy ówczesny minister
finansów a obecny kanclerz Franz
Vranitzky mówił o sztuce jako o „zama-
zanym zwierciadle Austrii”, premiera
ocierała się o skandal. Po *Theatermache-
rze* przyszła cała seria: *Ritter, Dene,
Voss, Einfach kompliziert, Der deutsche
Mittagstisch, Heldenplatz*. Niemiecki re-
żyser wprowadzał jakby w gorączkow-
wym pośpiechu jedną za drugą Bern-
hardowskie sztuki na sceny wiedeń-
skiego „Burgu”. Wkrótce miało się oka-
zać, iż znaczenia tych przedstawień nie
da się przecenić. Gdyby nie ta seria
bernhardowska w „Burgu”, Bernhard
praktycznie nie istniałby w austriackim
teatrze. Nowych przedstawień już nie
będzie.

chciałbym żyć gdzieś indziej niż właśnie
tu”.

Hassliebe, miłość nienawidząca, mi-
łość rozczarowana. W wielu to-
mach Bernhard wyjaśnił, jak do-
szło do takiej postawy. Wszystkie obel-
gi pod adresem Salzburga z memoria-
łów dzieciństwa, z długich tyrańd peł-
nych nienawiści z pierwszej powieści
Frost (Mróz) (1963) wymierzone w ab-
solutne Nie, czyli w małodusznych mie-
szkańców wsi, były samoobroną kogoś,
kto nienawidzi, gdyż chciałby być ko-
chany. Między atakami nienawiści po-
jawia się w książkach Bernharda zaw-
sze głos brzmiający przeciwnie, historia
odepchniętego dziecka, dziecka dziad-
kowego („gdyby nie miłość do dziadka,
dawno bym się zabił”), bez prawdziwe-
go domu rodzicielskiego, obcego w kra-
ju rodzinnym. Potrafił ranić, potrafił
być bezpośredni w sposób bolesny, po-
trafił jednak też obserwować i przed-
stawić ludzi z najdelikatniejszą miło-
ścią.

Bernhardowska agresja wobec Au-
strii nie jest w gruncie rzeczy agresją
przeciw Austrii, lecz przeciw całemu
światu. To tylko pozorna denuncjacja
Austrii. Sam Bernhard zresztą wyraź-
nie powiedział: „Ich bin nicht Gemein-
schreiber” — „Nie jestem pisarzem
gminnym”. Z punktu widzenia austriac-
kiego można jednak reagować z urazą.

Był chory na Austrię i był Austrią
zafascynowany. Utrudniał Austriakom
życie, sprawiał, że stawało się niewy-
godne. Był tu, twierdził się, naturalną
koniecznością.
„Ponieważ jednak wszyscy Austriacy są
nieszczęśliwi
nie można powiedzieć
że tylko on był nieszczęśliwym
człowiekiem”
(Heldenplatz)

SPOSOBY NA EUROPE

Leszek Elektorowicz

Mitologiczna geneza Europy jest dość mglista i niepełna. Córka królewska, piękna i rozważna, zostaje porwana przez Zeusa bądź w postaci orla, bądź byka, bądź przez działających na jego zlecenie Fenicjan. Ze swym boskim kochankiem powiła trzech synów, wśród nich Minosa. Mit Europy ma wiele wersji. Są jednak wspólne ich elementy — pochodzenie śródziemnomorskie, piękność, porwanie i płodność. Trawestując je na terminy realne, mielibyśmy: geografie, kulturę, politykę, gospodarkę.

Geografia wydaje się najbardziej oczywista, choć za sprawą polityki stawała się nieraz, także w ostatnim półwieczu (dla państw satelickich ZSRR) fikcją kartograficzną. W polityce mit sprawował się również: porywali ją lub chcieli porwać Atyla, Karol Wielki, Mongołowie, Napoleon, Hitler, bolszewicy. A gospodarka? Minotaur, pomiot mądrego Minosa, ów potwór, pół byk i pół człowiek wciąż jeszcze pożera ofiary, nie mogąc wydostać się z Dedalowego labiryntu i czeka na swego Tezeusza.

Pozostaje więc kultura. Tyleż mitopochodna, ile mitotwórcza. Ona to właśnie tworzy mit Europy jako jedności. Lecz w greckiej legendzie tkwi jeszcze jeden współczynnik — wieloznaczność. Ona najlepiej odzwierciedla naturę Europy. I jej historię. Czy np. wojny krzyżowe, które stworzyły „jedyną jak dotąd europejską armię” — jak pisze Jean-Marie Domenach — były produktem integrującej solidarności religijnej czy żądzy panowania i odwetu? Czy bardziej „europejskie” było Średniowiecze, czy Oświecenie? Królowa Wiktoria czy Hitler? Komunizm czy faszyzm? A przecież wszystkie te wydarzenia i zjawiska wpisują się w dziedzictwo Europy. Jak to się stało, że w tejże Europie, określonej przez cytowanego już Domenacha jako „przestrzeń duchowa: całość schryzjanizowanych ziem, które przyjęły potrójne dziedzictwo, judaizmu, Grecji i Rzymu”, że tu właśnie nastąpił holocaust. George Steiner zapowiedź zagłady widzi już w pismach de Sade'a, w usprawiedliwiających agresywność ludzką teoriach osobowości Hegla, Nietzschego, Freuda, a jeszcze wcześniej w infernalnych fantazjach nawiedzających sztukę Zachodu (XIV-wieczne męki piekielne, płótno Bosch'a). W literaturze zaś — jego zdaniem — nie ma lepszego opisu obozu zagłady niż „Pieńko” Dantego (In Bluebird Castle, 1978).

Nad tymi wszystkimi sprzecznościami, wojnami, kataklizmami trwa jednak idea jedności Europy jako owej „przestrzeni duchowej” wspólnej choć niejednorodnej. Przestrzeń tę tworzy kultura. Przywykło się więc mówić o „europejskiej kulturze”, mając na myśli dziedzictwo filozofii, sztuki, literatury, od starożytności poprzez Średniowiecze i wszystkie obejmujące obszar Europy prądy kulturowe.

Poczucie jedności rodzi się w zagrożeniu. A było ich wiele w dziejach kontynentu; w naszym stuleciu — naszym ze swą teorią wyższości kultury germańskiej i deprecjacji innych jako dekadentkich lub barbarzyńskich; z drugiej zaś strony — komunizm z podobnymi uroszczeniami „żdanowszczyzny” i socrealizmu.

Dziś, po „zimnej wojnie”, będącej jednak też półwieczem militarnej pokojowości, z dotychczasowymi doświadczeniami EWG, Rady Europy i innych instytucji międzynarodowych, idea zintegrowanego kontynentu, niemal bez granic państwowych, rozszerzającego swoje tereny na wschód, mogłaby się wydawać bliższa spełnienia niż kiedykolwiek od Karola Wielkiego. Okazuje się jednak, że idea (jeżeli nie mit) Europy jako wspólnej „duchowej przestrzeni” przeżywa swoisty kryzys. Ministrowie spraw zagranicznych współpracują, gospodarka się rozwija, ale „wymiana myśli nie nadąża za wymianą towarów” — jak sformułował bie-

żącą sytuację dyrektor Instytutu Francusko-Niemieckiego. J.-M. Domenach zaś dobitniej jeszcze mówi o nadprodukcji masta, której towarzyszy „prawie całkowite wyjałowienie z myśli” („Europa: wyzwanie dla kultury”, Warszawa 1992).

Te pesymistyczne uwagi zrodziły się u francuskiego autora z podwójnej konstatacji: kryzysu „wysokiej” kultury w jego kraju oraz inwazji masowej kultury amerykańskiej. A także z faktu wyparcia francuszczyzny przez język angielski w komunikacji międzynarodowej. Jest i jeszcze jeden fenomen: rozpowszechnienie się — nie tylko w Europie — takich wzorców obyczajowości amerykańskiej, jak moda dżinsowa, bary szybkiej obsługi, supermarkety czy domy handlowe Woolwortha. Powstające szybko różne snack-bary, kafeterie i in. zastępują tradycyjne bistrotts czy kafejki, w których zamiast hataśliwego rocka rozbrzmiewały kameralne piosenki francuskie. A proces ten trwa już od wielu lat.

Gdy ponadto w dyplomacji, na konferencjach międzynarodowych, sympozjach naukowych czy w pop-songach dominuje angielszczyzna — można zrozumieć uczucia Francuzów, tych zwłaszcza ze starszego i średniego pokolenia, którym nowy ładunek dumy narodowej przekazał gen. de Gaulle. Czy jednak kryzys tożsamości narodowej, który z tego nieuchronnie wypływa, nie będzie zastąpiony przez poczucie szerszej „tożsamości europejskiej”? Czy zwycięski marsz amerykańskiej technologii i amerykańskiego stylu życia (zadeptując po drodze obyczaje pomniejszych regionów) nie staje się — paradoksalnie — czynnikiem integrującym narody europejskie? Tak, ale na poziomie cywilizacji, a nie kultury. W tej integracji na poziomie cywilizacyjnym odgrywa także swą rolę (choćby się Francuzi na to zrywali) nowa lingua franca, jaką już stał się język angielski.

Na poziomie kultury jednak „tożsamość europejska” jest pojęciem nader względnym. Europejska kultura masowa (jeśli jest taka) nie oprze się naporowi amerykańskiej mass culture, choć grozi to uniformizacją. Kultury plebejskie, ludowe, regionalne są zbyt słabe, tworzyć mogą tylko enklawy, skanseny. Taka zaś kultura masowa, jaką lansowały oba minione europejskie totalitaryzmy, przegrać musiała z kretesem. Dla tożsamości europejskiej trzeba nam więc szukać oparcia w kulturze „wysokiej”. I to bardziej w literaturze i teatrze niż w muzyce i malarstwie, które z natury swej przekraczają próg uniwersalności.

W literaturze jednak istnieją bariery językowe. Stąd, mówiąc o tożsamości europejskiej, słuszniej byłoby użyć liczby mnogiej. Już w 1945 roku T. S. Eliot tak formułował ten problem: „Potrzeba nam różnorodności w jedności” (Notes towards the definition of culture). Kultura europejska bowiem nie może istnieć ani w warunkach izolacji poszczególnych krajów, ani w redukowaniu ich różnic — pisał tamże.

Jakie więc znaleźć wyjście w sytuacji, gdy — jak powiedział Jacques Delors — „może za dziesięć lat telewizory będą japońskie, programy amerykańskie, a tylko publiczność będzie europejska”? J.-M. Domenach widzi m.in. takie możliwości: uczynić „prawdziwym centrum Europy” miasta średnie do 100 tys. mieszkańców („gdzie one chronią nas i przed izolacją, i przed tłumem”), wprowadzić do szkół średnich naukę języków sąsiadów, „przerwać zaklęty krąg kultury elitarniej” i wprowadzić ją — na skalę europejską — do mass mediów.

Bardzo mi się podobają te pomysły. Ale sponsorzy? Sponsorzy! (Amerykanie?...)



HYDE PARK czytelników

W dzisiejszym numerze publikujemy jeden z wierszy KRYSZTOF OLSZANOWSKIEJ z Kalisza. To jedno z ładniejszych epitafiów, jakie zdarzyło nam się przeczytać w poczcie do Hyde Parku.

PANI MARIA

Pamięć Marii Kuncewiczowej

Spotkałam Ją pewnej lipcowej niedzieli w Kazimierzu przed fara Pod słońcem nie pod księżycem

Drobną mimo całej Jej wielkości bliższą choć stojącą wysoko przytulilam do serca w objęciach kwiatów

Na masce samochodu wpisała dla mnie dedykację w swojej książce która teraz nie ma ceny

Pani Maria córka Cudzoziemki z Kluczkami do utraconych mieszkań w blasku Dwóch księżyców pisała Listy do Jerzego

Kto teraz do Niej napisze list

VARIA

W czasach tak niezwykle trudnych dla wydawców (mam na myśli te oficyny, które zajmują się publikowaniem literatury niekomercyjnej) działające od lat kilku krakowskie WYDAWNICTWO „MINIATURA” otworzyło w Sukiennicach swoje stoisko w kramie nr 53. „Miniatura” — pod kierownictwem prezesa MIECZYSLAWA MACZKI i wiceprezesa MARI ZIEMIANYN od 1988 roku oferuje czytelnikom zbiory poezji, prozy oraz eseistyki; ostatnio dużym powodzeniem cieszy się unikatowa Biblioteczka Wschodnia. W dniu otwarcia stoiska, 12 czerwca 1992, sprzedawane były m. in.: oprawne w skórę tzw. szkatułowe wydania „Pana Tadeusza”, nowy zbiorek wierszy Elżbiety Zechenter-Splawińskiej oraz inne tomiki poezji. (kl)

15 czerwca br. w Śródmiejskim Ośrodku Kultury odbył się promocyjny wieczór najnowszej książki JANA PIESZCZACHOWICZA o poezji Haliny Poświatowskiej pt. „WALKA Z NIE-BYTEM”. Publikacja tego interesującego eseju przypadła akurat na trzydziestą rocznicę podjęcia pracy krytycznoliterackiej przez krakowskiego autora, wieloletniego prezesa krakowskiego oddziału dawnego ZLP, redaktora naczelnego i współzałożyciela czasopism „Student” i „Pismo”. (kl)

Otrzymałmiśmy 2. numer „FRAZY”, rzeszowskiego pisma literacko-społecznego poświęconego sprawom kultury. W majowym numerze przeważają materiały o charakterze regionalnym, m. in. wywiad z krytykiem teatralnym Krystyną Świerczewską, wspomnienie o Janie Rybowiczu, omówienie dorobku rzeszowskiego środowiska plastycznego. (kl)

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro. Redaguje zespół: Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Waclaw Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny, Aleksander Pieniek — grafik.

Dyżur redakcji: poniedziałki, godz. 13—15, tel. 22-36-23; piątki, godzina 16.30—28, tel. 22-65-48.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów. „Dekada” najpewniejsza w prenumeracie: 30 tys. kwartalna, 60 tys. półroczna. Wpłaty należy dokonywać na konto: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska” — PKO I OM 35510-1804334-136. ISSN 0867-4024